Nr. 467. (Wydanie popołudniowe). We Lwowie wtorek dnia 12 listopada 1901 r. Rok XXXIV.

Prenumerata wynosi:
we Lwowie:
miesięcznie 2 korony; — za dwurazową dostawę do domu dopłaca się 60 halerzy;
na prowincji:

| z jednorazową przesyłką: | | z dwurazową przesyłką: | |
|---|---|---|---|
| rocznie . . . | 30 K — h | rocznie . . . | 36 K — h |
| kwartalnie . . | 7 „ 50 „ | kwartalnie . . | 9 „ — „ |
| miesięcznie . | 2 „ 50 „ | miesięcznie . | 3 „ — „ |

W Niemczech miesięcznie 3 M. 50 fen
W innych krajach miesięcznie 4 Fr

*Rękopisów Redakcja nie zwraca*

Adres: „Dziennik Polski" — Lwów, plac Marjacki l. 7
Telefonu Nr. 171.

# DZIENNIK POLSKI

wychodzi 2 razy dziennie.

Ogłoszenia.
Za jeden wiersz petitowy albo jego miejsce 20 halerzy.
Za jeden wiersz petitowy w rubryce *Nadesłane* 40 halerzy
Drobne ogłoszenia po 3 halerze za słowo. Najmniejsze ogłoszenie 30 halerzy.
Doniesienia o ślubach, zaręczynach i inne prywatne komunikaty po *Kronice* za jeden wiersz petitowy 60 halerzy.

Numer pojedynczy:

| we Lwowie: | | na prowincji: | |
|---|---|---|---|
| poranny . . . | 3 halerze | poranny . . . | 5 halerzy |
| wieczorny . . | 8 halerzy | wieczorny . . | 10 halerzy |

## O wybory w Gorlicach.

**Lwów** 11 listopada.

Telegram z Wiednia doniósł nam, iż na dwóch posiedzeniach Koła polskiego, odbytych w sobotę rano i po południu, toczyła się obszerna dyskusja nad sprawą interpelacji, którą zamierzał wnieść p. Romanowicz w sprawie ostatnich wyborów do sejmu z m. Gorlic, gdzie, zdaniem interpelantów, starosta tamtejszy, p. Michałowski miał się dopuścić rozmaitych nadużyć.

Koło — jak wiadomo — uchwaliło znaczną większością, bo 22 przeciw 7, interpelacji tej nie wnosić. W dyskusji atoli, którą nad tą sprawą toczono, poruszyli mowcy tyle zasadniczych kwestyj, starły się zdania frakcyj, reprezentowanych w Kole, że uważamy za wskazane przebieg tej dyskusji przytoczyć obszernie.

Dyskusję rozpoczął prezes Koła, p. Jaworski, który imieniem komisji parlamentarnej zdał sprawę z przedłożonej przez p. Romanowicza interpelacji. Oświadczył, iż komisja parlamentarna jest zdania, że sprawa ta należy do sejmu, a rada państwa nie jest dla niej kompetentną. Sprzeciwia się więc wniesieniu interpelacji.

Pos. Romanowicz wyjaśnia, iż interpelacja nie jest identyczną z rozdanym pomiędzy posłów drukowanym protestem. Protest przeznaczony jest dla sejmu, interpelacja zaś wyjęła tylko niektóre dane z tego protestu. Różnica jest w tem, że nie idzie o sprawdzenie wyboru, co bezwarunkowo należy do sejmu, a tylko o napiętnowanie nadużyć wyborczych. Dokąd się więc z tem udać? — Tu jest odpowiedzialny minister, a w sejmie jest odpowiedzialny namiestnik. Mowca twierdzi, iż zdaje się, że starosta Michałowski zostanie nawet za nadużycia nagrodzony. Przez waszą uchwałę — kończy mowca — doprowadzić możecie do tego, że my sobie stąd pójdziemy, ale ci, co po nas przyjdą, do Koła z pewnością nie wstąpią.

Prezes p. Jaworski odczytuje tekst interpelacji, która — jak dotąd — uważaną jest za poufną.

P. Dawid Abrahamowicz, polemizując z posłem Romanowiczem, odpowiada: Skoro panowie oświadczacie: „Możecie mówić, co chcecie, a my jednak interpelację wniesiemy" — to jest rzeczą upokarzającą wogóle w tej sprawie tu przemawiać. Mowca dowodzi dalej, że sejm i namiestnik są jedynie kompetentni do rozbierania tej sprawy.

Zabiera głos prezes Jaworski: Zapytujecie nas, cobyśmy zrobili, gdyby rzecz toczyła się o naszego kandydata. Odpowiadam, że robiliśmy wszystko, żądalibyśmy ukarania winnych itd. — ale wszystko w sejmie.

P. Wojtyga imieniem posłów ludowych oświadcza, że interpelacji nie podpiszą. Wnosi jednak rezolucję, która opiewa: Koło polskie potępia nadużycia, popełnione przez starostę Michałowskiego.

P. Grek polemizuje z posłem Dawidem Abrahamowiczem.

Pos. dr. Byk jest zdania, że sprawy tej nie należy traktować ze stanowiska prawniczego, formalnego, ale ze stanowiska czysto politycznego. Wytaczając tę sprawę przed radą państwa, zrobilibyśmy przysługę tym właśnie stronnictwom, które walczą przeciwko nam argumentami o wyborach galicyjskich. Mowca jest więc przeciwny wnoszeniu interpelacji.

Pos. ks. Pastor modyfikuje rezolucję p. Wojtygi, a mianowicie, jak następuje: Koło polskie wyraża życzenie, aby rząd krajowy sprawę wyboru jasielskiego jak najdokładniej w najbliższym czasie zbadał, a mianowicie wytknięte w proteście nadużycia sprawdził i ewentualnie winnego lub winnych, do surowej pociągnął odpowiedzialności.

Pos. Rotter polemizuje z wywodami p. Dawida Abrahamowicza i zapytuje go, jeżeli p. Abrahamowicz podsuwa stronnictwu mowcy inne motywa, nie te, które on wyraźnie wymienił, — to jakie są te motywa? Dalej polemizuje p. Rotter z drem Bykiem i innymi mowcami.

Pos. dr. Górski oświadcza, że czynności komisji wyborczej i władzy politycznej przy przeprowadzaniu wyborów, są częścią aktu wyborczego i kwestja obecna stoi w najściślejszym związku ze sprawą oceny prawomocności wyboru. Kompetencja należy wyłącznie do tego ciała prawodawczego, do którego odbywa się wybór. Ciało prawodawcze samo o tem rozstrzyga. Wywlekanie sprawy wyborów sejmowych przed forum rady państwa, sprzeciwia się pojęciu autonomji.

„Wywleczono na to argument, że zarzut jest nietrafny, bo w takim razie zgłaszanie każdego rekursu przeciwko zarządzeniom władzy krajowej, byłoby przeciwne autonomji. Tym argumentem walczy dziennikarstwo i tego argumentu użył p. Rotter. Nie zazdroszczę — powiada dalej mowca — panom tego argumentu, bo w takim razie nietylko zachodzi pomięszanie pojęć prawa prywatnego i publicznego, ale zawiera ten argument w sobie *eo ipso* premissę, że rekuruje się od władzy niższej do wyższej, od ciała niższego do ciała wyższego prawodawczego. Nie zazdroszczę panom tego autonomicznego stanowiska.

„Wiem, że o tem nie myśleli wnioskodawcy, ale nie zdawali sobie sprawy, do jakich konsekwencyj prowadzi to ich stanowisko. My stoimy na stanowisku równorzędności parlamentu i sejmu, tego jedynego ciała prawodawczego polskiego. — Każdy autonomista byłby do żywego obrażony, gdyby sprawę wyborów do rady miejskiej lwowskiej, krakowskiej lub praskiej, wytoczono przed *forum* rady miejskiej stolicy państwa, Wiednia. A jednak do tego prowadzi stanowisko interpelanta. W tej chwili, kiedy sytuacja parlamentarna jest groźną, kiedy ukazuje się widmo § 14, my nie mówimy o sytuacji, nie mówimy o tem, co się odnosi do spraw parlamentarnych i budżetu, ale zabierają nam czas kwestje interpelacyj o wyborach sejmowych.

P. Romanowicz spowodował, że na początku roku zmarnowaliśmy czas, bośmy dwa tygodnie debatowali nad zmianą statutów. Teraz tracimy czas na podobną dyskuję. Ta ciągła walka wewnętrzna, te ustawiczne ataki na większość Koła, osłabiają stanowisko jego, ubezwładniają nasz ruch i naszą działalność. Podnoszono tu dwukrotnie, że jeżeli tę interpelację odrzucimy, to z tego wyniknie katastrofa. Ja osobiście groźby tej się nie boję. Jeżeli wybory sejmowe wypadły tak, jak wypadły, to stało się to dlatego tylko, że opinja kraju odwróciła się od tych, którzy starali się osłabić solidarność Koła polskiego."

Pos. Jędrzejowicz zanosi prośbę do interpelanta, którego bardzo ceni, by cofnął interpelację, która Koło stawia w przykrem położeniu. Interpelant twierdzi, że minister jest odpowiedzialny, a namiestnik nie. To jest tylko czcza forma. Isnieje także odpowiedzialność moralna i istnieje ona u namiestnika, a więcej znaczy, niż formalna odpowiedzialność niemieckiego ministerstwa. Taka interpelacja byłaby równoległą do akcji naszych wrogów.

Pos. Dawid Abrahamowicz przechodzi szczegółowo fakty przytoczone w interpelacji i wykazuje punkt za punktem, że należy ona do kompetencji sejmu. Mowca oświadcza się także przeciwko rezolucjom pos. Wojtygi i ks. Pastora.

W głosowaniu wniosek pos. Romanowicza upadł wszystkimi głosami przeciwko 7.

Po ogłoszeniu przez przewodniczącego rezultatu głosowania, zabrał głos p. Eugenjusz Abrahamowicz i wyraził przekonanie, że p. Wojtyga, wobec oświadczenia prezesa, cofnie swą rezolucję.

P. Wojtyga oświadcza, iż wobec oświadczenia prezesa, że się tą sprawą zajmie, które to słowa niechaj powtórzą dzienniki, rezolucję swą cofa.

Rezolucję tę atoli podniósł p. Romanowicz i zażądał imiennego nad nią głosowania.

W imiennem głosowaniu na 29 głosujących 7 oświadczyło się za rezolucją, a 22 przeciw; rezolucja więc upadła.

Głosowali przeciw: Dawid Abrahamowicz, Eugenjusz Abrahamowicz, Binder, Marjan Błażowski, Byk, Chamiec, Gwikliński, Czaykowski, Garapich, Górski, Henzel, Jabłoński, Jaworski, Jędrzejowicz, Kozłowski, Komorowski, Królikowski, Mernnowicz, Piepes-Poratyński, Pastor, Popowski, Roszkowski, Sapieha, Sozański, Stojałowski, Struszkiewicz, Tyszkowski, Włazowski, Wodzicki, Wojtyga.

Za wnioskiem głosowali: Danielak, Doboszyński, Grek, Petelenz, Romanowicz, Rotter i Stwiertnia.

## Wynurzenia Salisbury'ego.

Długo oczekiwane wyjaśnienia kierownika polityki wielkobrytańskiej, do którego słów opinja zwykła wielką przywiązywać wagę, miały nareszcie miejsce i — rozczarowały nakoniec tych wszystkich, którzy wierzyli w możliwość pokojowego załatwienia piekącej kwestji południowo-afrykańskiej. Opinję swą wypowiedział Salisbury na bankiecie u lorda majora w Guildhall, a wyraził się temi słowy:

„Żyjemy w czasach o wiele gorszych, niż przed paru laty, jakkolwiek z drugiej strony nie możemy na nie tak bardzo narzekać. Wprawdzie śmierć królowej wywołała wielki smutek, ale godny następca jej ukoić go umiał energją i pracą. Wobec trudności, jakie Anglja przechodziła, jest pociecha w tem, że pokój światowy tak mało jest zakłócony; wszystkie mocarstwa, z któremi Anglja jest związaną, zajęły stanowisko wobec niej przyjazne i neutralne. Chmura, która w ostatnich tygodniach zaćmiła horyzont Morza Śródziemnego, już się rozeszła. Przed laty 50 nie byłyby trudności te tak łatwe do usunięcia.

Pożałowania godną pozostaje natomiast dalej sprawa wojny w Afryce. Co do niej, nie podziela lord pessymizmu, jaki się w niektórych sferach objawił. Szybkość, z jaką się ten pessymizm rozpowszechnił między ludem, świadczy o tem, że lud ten dotąd sobie jeszcze nie zdaje sprawy z tego, jakiego to rodzaju jest sposób prowadzenia tej wojny. Tego rodzaju wojna nie może się obywać bez nagłych zmian szczęścia. W co jednak Anglja niezbicie wierzy, to, że bezwarunkowo musi wojnę w Afryce doprowadzić ze skutkiem pomyślnym do końca. We wszystkich niemal wojnach ostatniego stulecia, walka po wzięciu stolicy nie długo się już przeciągała; z obecną jest inaczej. Z tego, że gerylasówka ta nie tak rychło się skończy, jak wojna, w której udział biorą wielkie armje, nie należy jeszcze sądzić o jakichkolwiek niebezpieczeństwach. Wojna ta musi być prowadzona według osobnych praw (?).

Jeżeli trwa dłużej, niż myślano i oczekiwano, to należy zważyć, że to samo zdarzało się w wojnach Czerkiesów z Rosją, Bretonów z Francuzami, Bośniaków z Austrją i Indów w czasie powstania przeciw Anglikom. Absurdem tedy można nazwać twierdzenie, jakoby źle się stało, że lord Roberts nie ukończył wojny po zdobyciu Pretorji. Salisbury żałuje mocno, że nie może powiedzieć wszystkiego, coby chciał, ale zapewnił, że z miesiąca na miesiąc, z tygodnia na tydzień, robi się ciągle na terenie wojny postępy. Wojna partyzancka słabnie, a zarzut, jakoby jeszcze nie mogła być ukończoną, w żadnej mierze nie może trafiać rządu. Rząd ten w niczem nie zaniedbał swych obowiązków, czy to pod względem spełniania żądań generałów, czy też pod względem uzbrojenia i wyekwipowania armji.

„Polityka nasza — kończył Salisbury — pozostaje niezmienioną. Nie życzymy sobie niczego więcej, jak terytorja, gdzie obecnie wojna się szerzy, widzieć uspokojone i wolne i aby przy najbliższej sposobności mogły się cieszyć dobrodziejstwem autonomji. Niezawisłość jednak Boerów — powiedział Salisbury — nie da się pogodzić z naszem bezpieczeństwem. Naród angielski jest zdecydowany postarać się o to, aby się ta okropna wojna nigdy więcej nie powtórzyła. Przyczyny tego niebezpieczeństwa musimy z naszego państwa wyeliminować. Interesy Anglji są ściśle związane z naszem działaniem."

Ostatnie tedy wyrazy mowy Salisburyego, brzmią jak Katonowskie żądania co do Kartaginy. Są one poprostu wyrokiem śmierci dla ludu Boerów, walczącego w obronie swej wolności

## Li-Hung-Czang.

Najwybitniejszy z chińskich mężów stanu, człowiek, który przez kilka ostatnich miesięcy zajmował Europę swoją osobą, największy bogacz w świecie — Li-Hung-Czang — rozstał się z życiem. Śmierć jego nie była jednak niespodzianką, Li-Hung-Czang bowiem miał 78 lat i od dłuższego już czasu chorował.

Życie jego przypomina bajkę z tysiąca i jednej nocy: syn robotnika, nędzarza niemal, doszedł do władzy najwyższej w największem na świecie państwie. Była chwila, w której mówiono, iż zasiądzie na tronie Bogdychanów i nową rozpocznie dynastję; — w ostatniej chwili wykonania tego planu cofnął się, widząc, że krok jego ostateczny mógłby narazić kraj na nieszczęście.

Urodził się w roku 1823 w maleńkiej wiosce, w prowincji Niaunui; ojciec jego Czang, był prostym wyrobnikiem. Miał dwóch synów, Hana i Hunga. Młodszy Han, miał lat sześć, gdy ojciec umarł. Matka ich, wbrew tradycjom chińskim wyszła za mąż po raz drugi za „uczonego" (tytuł człowieka, który zdał wyższe egzamina) nazwiskiem Li. „Uczony" Li pokochał swych pasierbów, jak własne dzieci, których wcale nie miał. Dzięki jego pomocy obaj zdali świetnie kolejno wszystkie egzamina, otwierające w Chinach drogę do najwyższych dostojeństw. Obaj przybrali nazwisko ojczyma do swych nazwisk; Li-Hun-Czang, starszy, doszedł do stanowiska wicekróla jednej z prowincji, z którego ustąpił przed dziesięciu laty. Młodszy Li-Hung-Czang, onegdajszej nocy rozstał się z życiom. Przypatrzmy się kolejom tego życia.

Gdy młody aspirant w r. 1849 ukończył studja, zaczynało się właśnie wielkie powstanie tajpingów. Młody Hung wstąpił w szeregi generała Tseng-Kuo-Fana, który poznał się na zdolnościach młodzieńca i mianował go swoim sekretarzem. Jemu też zawdzięcza Hung, że już w r. 1861 zamianowano go gubernatorem prowicji Kiangsu. Stolica prowincji była w rękach powstańców, Hung przeto był zmuszony przenieść swą rezydencję do największego z kolei miasta tejże prowincji, Szangaju.

Stąd operował szczęśliwie przeciw tajpingom i przy pomocy wojsk pułkownika Gordona, udało mu się zupełnie wygnać powstańców. Rząd chiński w nagrodę za ten czyn nadał mu tytuł „obrońcy cesarza." Uporawszy się z powstańcami we własnej prowincji, pospieszył Li z pomocą swemu dawnemu protektorowi, Tseng-Kuo-Fanowi, który rozpoczął oblężenie Nankinu, głównego siedliska powstania. Przywrócenie porządku i ukończenie wojny domowej było dziełem niemal wyłącznem talentu Li-Hung-Czanga. Uznano to w Pekinie i mianowano go w roku 1866 wicekrólem prowincji Kiangsi i Kiangsu.

W roku 1870-ym wymordowano mniszki francuskie w Tientsinie. Chiny obawiały się nowej wizyty angielsko-francuskiej. Li przejednał jednak mocarstwa. Skończyło się na panicznej trwodze. Odtąd, ilekroć stosunki z zachodem europejskim krzywiły się, Li stawał na

## Marko Marulicz i jego następcy.

Na wspaniałem wybrzeżu Spljetu, które zatacza duży łuk od Baczwice, obok starego pałacu Djoklecjana, aż do Polo, niedaleko placu Marmonta, zamkniętego prokuracjami w weneckim guście, a tuż za ślicznym wodotryskiem Franciszka Józefa, wznosi się u podnóża góry „Marjan" skromny na zewnątrz klasztor z kościołem OO. Franciszkanów. Tradycja utrzymuje, że założycielem tego kościoła był św. Franciszek z Asyżu we własnej osobie, co zresztą jest rzeczą prawdopodobną, wobec tego, że twórca reguły OO. Franciszkanów był w Dalmacji i kazał tutaj w r. 1220. Każdy niemal kościół w Dalmacji jest rodzajem muzeum: tyle tam pamiątek historycznych, kronik i zabytków sztuki. I ten posiada pięknie rzeźbiony ołtarz główny; obrazy włoskiej szkoły, kosztowne i misternie cyzelowane aparaty kościelne, a w krużganku klasztornym stoi wspaniały sarkofag z kamienia z rzeźbą przedstawiającą przejście Izraelitów przez Morze czerwone. Ale nie te pleśnią wieków okryte zabytki stanowią główną atrakcję; nigdy nie zapomnę uroczystego tonu, w jakim przemówił do nas uprzejmy *cicerone* nasz w Spljecie, redaktor dr. Radicz, kiedy oświadczył, że pokaże nam istotny skarb wśród tych pamiątek!

Skarbem tym — grobowiec: spoczęły w nim zwłoki pierwszego chorwackiego poety Marka Marulicza, który zarazem słynął jako jeden z najznamienitszych historyków, filozofów i teologów swojego czasu.

W Spljecie stała kolebka poezji chorwackiej!

Marko Marulicz, urodził się tu w roku 1450 — a stanowi on dowód, że i reguła „wśród szczęku broni milkną muzy" miewa swe wyjątki. Życie jego bowiem i działalność przypadają na czas ciągłych zamieszek, walk i najazdów. Warna, Kosowe pole i Mohacz otwarły Turkom wolną drogę do serca Europy, a kraje bałkańskie gięły się pod twardą stopą hord Murada i Mahometa II. Solona stała się łupem Osmanów, pobliski więc Spljet musiał się zmienić w placówkę o ciągłem pogotowiu. Wenecja zagrożona ligą w Cambrai wycofała swe załogi z Dalmacji, skazując miasta na samoobronę. To też nie jeden raz następca Jana z Ravenny, arcybiskup Zane, musiał zmieniać infułę na hełm rycerski i chwytać miecz miasto pstorału. Nie było to rzeczą nową, w tych stronach ciągłych waśni i walk: Zane czynił to co jego poprzednik Malabranca, który skutecznie zwalczał panów z Clissy. Pomimo tych walk jednak, Spljet potężniał i rozwijał się nie tylko materjalnie ale i pod względem umysłowym — a od czasu Marulicza zajął obok Dubrownika najpoczestniejsze w chorwackiej ziemi miejsce. Marulicz jak każdy jego współobywatel władał dzielnie bronią: za pióro lub lutnię chwytał tylko w nielicznych chwilach pokoju, które przepędzał zazwyczaj w swem tuskulum na pobliskiej wyspie Solta. Mała ta wysepka położona w kierunku południowym od Spljetu, a sąsiadująca z wyspą Bracz, zajmuje zaledwie 58 kilometrów kwadratowych i liczy dziś mało co więcej nad trzy tysiące mieszkańców. Ale jakże jest piękna! jak stworzona na ustronie dla poety!

Znali ją już starożytni (Olintba-Solentum) i nazywali krainą „chleba, mleka i miodu". Flora jej i dziś jeszcze niezwykle bujna i bogata: łany zboża przecinają wyborne winnice, po całej wyspie rozsiane są małe gaje oliwne i morwowe, na stokach gór rosną cyprysy, a chryzantemy i kwiat niebieski rozmarynu układają się w barwny i wonny kobierzec!

Tu przebywał najchętniej znakomity pisarz, tu w ciszy i odosobnieniu tworzył swe dzieła — tutaj też w roku 1524 zamknął powieki.

Marulicz pisał wiele — a pisał równie biegle w języku chorwackim, jak łacińskim i włoskim. Pierwsze jego utwory pisane po włosku miały takie znaczenie, że wytworzyły formalną szkołę. „Marco Marulo" — jak się wówczas podpisywał — stał się mistrzem całej plejady poetów, z których najwybitniejszymi byli Negri, Martiniaco, Nicolo Alberti i Francesco Natali, który pozostawił nam obszerną biografję ukochanego mistrza. W języku łacińskim wydał wiele dzieł zwłaszcza teologicznych (jakkolwiek duchownym nie był) i filozoficznych, które w sferach kościelnych zjednały mu nie małe poważanie.

W języku chorwackim pisał głównie poezje, w których główną rolę gra pierwiastek religijny i dydaktyczny. Na pierwszem miejscu wymienić należy dwa biblijne poematy: „Judyta" (historyczno-epiczny — wiersz dwunastozgłoskowy) i „Zuzanna", których tytuły na treść wskazują. Znawcy języka chorwackiego przyznają obu tym poematom bardzo wysoką wartość literacką i artystyczną. Boje z Turkami, których bywał uczestnikiem, postępy ich oręża na Bałkanie natchnęły go do skreślenia kilku poematów (Skarga Jerozolimy, Przekleństwo Osmanom, Bój), w których gorąco błaga Boga o pomoc dla chrześcjan w ich walce o wyzwolenie. Prócz tych większych utworów, do których możnaby jeszcze dodać przerobione z włoskiego misterjum „Trzy przykazy" napisał wiele drobniejszych poematów treści religijno-dydaktycznej, a że i satyra nie była obcą dla niego niwą, dowodzą także utwory jak „Spowiedź zakonnic" tudzież „Karnawał a post." Nie jest to jednak, jakby z tytułu można wnosić rzecz skierowana przeciw instytucjom lub obrzędom kościelnym: owszem głęboko religijny autor zwrócił ostrze satyry przeciw tym, którzy „mędrkują" na punkcie wiary lub przykazań kościoła.

Do czasów Marulicza nie wierzono, ażeby język chorwacki mógł być językiem literackim, a zwłaszcza, ażeby mógł się stać językiem poetów. Nic w tem dziwnego, gdy się zważy, że długie panowanie Wenecji zapewniło, zwłaszcza w miastach, samą siłą rzeczy dominujący wpływ kulturze i językowi włoskiemu. A i o czasie zapominać nie należy — bo była to epoka, w której my n. p. możemy zaledwie kilka wybitniejszych nazwisk wymienić, jak: Andrzej Krzycki, Jan Dantyszek, Klemens Janicki — piszących wyłącznie w języku łacińskim. Przykład Marulicza podziałał, ożywił poczucie narodowe — porwał. W ślady jego idzie cała rzesza pisarzy i poetów, jak Papalicz, Martinczyc, Matulicz, Bożyczewicz i w i. Z pod piór ich wychodzą erotyki, epistoły poetyckie, pieśni nabożne — ale brak im oryginalności. Utwory ich, to po największej części przekłady utworów włoskich, lub dosyć słabe naśladownictwa.

Jeżeli jednak w murach rodzinnego miasta nie znalazł Marulicz godnego siebie następcy, to nie brakło ich w Dubrowniku. Najwybitniejszym z nich był Wetranicz-Czawczycz (1482 do 1576) patrycjusz Dubrownicki, który przez jakiś czas był opatem, a później pędził żywot samotnika na skalistej wysepce św. Andrzeja. Lat dwadzieścia żył jako anachoreta, dzieląc swój czas pomiędzy klasyków rzymskich, modlitwę, uprawę roli i rybołostwo. Życie swe opisał w poemacie p. t. „Pustelnik" (*Remeta*) — a w poemacie p. t. „Pielgrzym" (*Putnik*) szczęśliwie naśladował „księgę przemian" Owidego. Utwory jego odznaczają się niezwykłą siłą i czystością języka, w misterjach, których kilka przetłumaczył lub oryginalnie napisał, uderza doskonała, jak na owe czasy charakterystyka osób i sytuacji. Obok niego wymienić należy właściwych twórców literatury dubrownickiej, która od tej chwili w całej Chorwacji najpotężniej rozkwita t. j. Sziszko Menceticza i Gjore Drżicza. Obaj oni byli przedstawicielami tego rodzaju miłosnej poezji, którą stworzyli prowansalscy trubadurowie, a której treścią było uwielbianie Boga i kobiety.

Nie brakło też następców Marulicza i w innych stronach pięknej dalmackiej ziemi; urocza wyspa Hvar (Lesina) dwóch znamienitych wydała poetów: Hanibala Lucicza i Piotra Hektorowicza. Pierwszy z nich jest twórcą narodowego dramatu chorwackiego: jego „Niewolnica" (*Robinja*) jeszcze w początkach zeszłego wieku cieszyła się powodzeniem, drugi jest autorem idylli rybackiej, (*Ribanje*) napisanej w guście włoskich eklog. Główne jej znaczenie jednak polega w tem, że poeta zużytkował w niej trzy piosnki ludowe chorwackie, najstarsze, jakie zna ich literatura.

Wiek XVI. należy prawie wyłącznie do Dubrownika, cieszącego się swobodą i niezależnością. Tu występuje Andrzej Czubranowicz, Mikołaj Naljeszkowicz, uczony matematyk i astronom, a zarazem autor pieśni miłosnych i t. zw. pastoralek, tj. udramatyzowanych sielanek, Dominik Ranjina, patrycjusz i urzędnik rzeczypospolitej, doskonały tłumacz klasyków i poeta okolicznościowy, a wreszcie córa patrycjuszowskiego rodu, Flora Zuzoricz, słynna poetka, a jeszcze słynniejsza piękność. Dosyć powiedzieć, że Florentczycy zwali ją „dubrownicką Aspazją", a jej wdzięki w dwóch sonetach sławił nieśmiertelny Tasso!

Oto najwybitniejsze postaci następców Marulicza, którzy „prostowali ścieżki" najznakomitszemu poecie chorwackiemu i jednemu z najznakomitszych poetów słowiańszczyzny. Poetą tym Jan Gundulicz.

Urodzony 1588, syn patrycjuszowskiej rodziny, odgrywał w swej ojczyźnie znakomitą rolę, gdyż siedemkroć piastował godność knezia (doży) rzeczypospolitej dubrownickiej.

O życiu jego nie wiele posiadamy wiadomości, ale one są obojętne wobec jego dzieł, które zwłaszcza dla nas obcemi być nie powinny. Najznakomitszem jego dziełem, jest epopeja w XX pieśniach „Osman", której przedmiotem są walki Polaków z Turkami, a jednym z bohaterów królewicz, późniejszy król Władysław IV.

Zbyt wiele miejsca zajęłoby streszczenie tego prawdziwie wielkiego dzieła nieśmiertelnego poety, dosyć powiedzieć, że jakkolwiek czuć tu wpływy Homera, Tassa i Arjosta, to jednak jest to rzecz oryginalna, pełna gorącego uczucia słowiańskiego, pragnącego wyzwolenia braci jęczących pod jarzmem tureckiem. Jestto gloryfikacja waleczności polskiej, a zarazem wezwanie rycerskiego Władysława IV, ażeby nie ustawał w walce z niewiernymi. „Osman" znajduje się w naszej literaturze tylko w wyjątkach; prof. Zawiliński, gruntowny znawca literatury chorwackiej wspominał mi, że ma istnieć przekład zupełny, dokonany przez Karola Brzozowskiego. Gdyby tak było, to chyba znajdzie on nakładcę!

Z pomiędzy wielu innych dzieł wspomnieć jeszcze należy o przekładzie „Jerozolimy wyzwolonej"; poświęcił go Gundulicz Zygmuntowi III. Przekład ten jednak zaginął. Wreszcie nie można pominąć wzmianki o dokonanym przez poetę przekładzie „siedmiu psalmów pokutnych", które lud do dziś dnia śpiewa...

W kwietniu br. przy sposobności zjazdu dziennikarzy słowiańskich w Dubrowniku, złożyliśmy hołd temu genialnemu poecie i wielkiemu synowi Chorwacji: dziś, choć z oddali, bierzemy gorący udział w uroczystości, która miłych nam pobratymców gromadzi celem uczczenia pierwszego chorwackiego pieśniarza — i przedwcześnie zgasłego pisarza.

Marulicz — Szenoa!

Te dwa nazwiska, to potężne pomniki wielkiego rozwoju narodowej literatury.

Składając hołd tym, zasłużonym wodzom duchowym bratniego narodu, przesyłamy życzenie: „Niech żyje, kwitnie i potężnieje Chorwacja!

*Ostaszewski-Barański.*

wylomie. Od r. 1870 podpisywał stale wszystkie traktaty cesarza chińskiego, a jako wicekról w Tientsinie przeprowadzał ważne, epokowe nawet reformy. „Cenzorowie“ chińscy usiłowali wielokrotnie obalić go, znajdował wszakże zawsze silne oparcie w bystrej cesarzowej Tsi-si, która nigdy nie zapomniała, że jej dopomógł w najkrytyczniejszej chwili życia. Gdy bowiem wybuchła rewolucja pałacowa, mająca na celu odebranie władzy cesarzowej-regentce, Li-Hung-Czang energicznem postępowaniem powstrzymał jej rozwój i wzmocnił władzę regentki. On też po śmierci cesarza Tung-Cho, w r. 1875, ogłosił bogdychanem czteroletniego Kwang-Su, który panuje dotychczas, pod opieką cesarzowej. Już wtenczas Li-Hung-Czang zajmował najwyższe stanowisko „kanclerza państwa“, a zarazem jako wicekról Kantonu wywierał wpływ na rządy.

Aż do wybuchu wojny z Japonją w roku 1894 Li-Hung-Czang prawie bezpodzielnie rządził Chinami. W tym jednak czasie przeważyły intrygi dworaków. Odebrano mu władzę i godności najwyższe, pomimo, że tylko dzięki jego zręczności dyplomatycznej, wojna skończ ła się stosunkowo korzystnie dla Chin traktatem zawartym w Simonoseki. Traktat ten był dziełem wyłącznem Li-Hung-Czanga.

Opowiadają, że w owym czasie wicekrólowie południowych prowincyj zażądali od Li-Hung-Czanga, aby usunął obecną dynastję, a sam stanął na czele Chin „odrodzonych“, jako założyciel dynastji Czangów. Hung mógł liczyć na poparcie swoich, lecz szło mu także o względy mocarstw europejskich. Posłowie uwierzytelnieni przy dworze chińskim, sprzyjali jego zamiarom. Jedynie poseł niemiecki dał mu do zrozumienia, że Niemcy zgodzą się na jego plany, jeśli im odda na własność południowo-zachodnie prowincje chińskie.

— Pragnę szczęścia Chin — odrzekł otwarcie, może po raz pierwszy w życiu — upadku ich nie chcę, choćby za cenę tronu.

Od tego czasu Li-Hung-Czang stał się wrogiem Niemiec i co prawda, znalazł wzajemność.

Pamiętną jest podróż Li-Hung-Czanga, odbyta przed czterema laty po Europie i Ameryce. Po powrocie z tej podróży przywrócono mu godności i najwyższe stanowisko wicekróla Peczili, na którem zastała go wyprawa, podjęta w roku zeszłym przez mocarstwa związkowe. Chiny uległy, ale dzięki zręczności Li-Hung-Czanga, zwycięzcy nie zdobyli korzyści spodziewanych. Po raz trzeci Li-Hung-Czang uratował kraj swój od zupełnego upadku — wreszcie legł w grobie.

Europy nie lubiał, „cudzoziemców“ nie nawidził, lecz cenił ich zdobycze cywilizacyjne. Pragnął pozyskać je dla Chin, pragnął podniesienia swego kraju, torował ku temu drogi właściwe, lecz nie zdołał przełamać zastarzałych przesądów. Bezstronny historyk przyzna, iż był to jeden z największych mężów stanu ostatniej doby. *R.*

# KRONIKA.

**Lwów** 11 listopada.

**Stan powietrza.** Godzina 12 w południe: Ciepłota + 3° R.; śnieg.

**Pomnik Ujejskiego**, dłuta artysty rzeźbiarza p. Popiela, odsłonięty zostanie w tym jeszcze może miesiącu na skwerze w ulicy Akademickiej przed kasynem miejskiem. Roboty przy cokole wykańcza obecnie pracownia rzeźbiarska p. Periera, emblemat, odlany w bronzie nadszedł już z fabryki Kruppa, a w tych dniach nadejść ma biust, odlany również w bronzie. Za dni kilka ukończone zost. nie wszystko, a wkrótce zbierze się komitet celem omówienia dnia i programu odsłonięcia pomnika.

**Wystawa jubileuszowa Towarzystwa politechnicznego we Lwowie**, o której onegdaj donieśliśmy, odbędzie się pod protektoratem p. namiestnika Leona hr. Pinińskiego i p. marszałka krajowego, Andrzeja hr. Potockiego.

Komitet wystawy, który rozpoczął już swe czynności, uorganizował się, wybierając prezesem wystawy radcę dworu p. Jana Frankego, prezesa towarzystwa politechnicznego, zaś wiceprezesami pp. prof. Romana Dzieślewskiego, prof. Leona Syroczyńskiego i inżyniera Wacława Wolskiego. Dyrektorem wystawy wybrano p. inżyniera Karola Eplera, zastępcą dyrektora i skarbnikiem p. inspektora Juljusza Rossa, sekretarzami pp Stanisława Świeżawskiego, Edwarda Herzberga i Józefa Sosnowskiego, zaś członkami komitetu wykonawczego pp. Jana Boguckiego, Konrada Łozińskiego, Ludwika Ramulta, Zygmunta Rodakowskiego, Adama Teodorowicza i Alfreda Zacharjewicza.

Komitet wydał już program działu a) t. j. wystawy wynalazków polskich. Program ten w tych dniach opuści prasę i zostanie rozesłany. Ze względu na doniosłość wystawy i pożytek, jaki ona właścicielom wynalazków przynieść może, byłoby bardzo pożądanem, żeby wynalazcy, względnie właściciele wynalazków, którzy mają zamiar wziąć udział w wystawie, a dla braku adresu programu nie otrzymali, zechcieli się zgłosić do komitetu wystawy we Lwowie, ulica Chorążczyzna l. 17. Program, jakoteż wszelkie druki dotyczące wystawy, wydaje komitet bezpłatnie.

**Jubileusz W. Niedziałkowskiej.** Komitet, złożony z byłych uczenic zakładu p. Wiktorji Niedziałkowskiej, chcąc uczcić jej 25-letnią działalność wychowawczą i społeczną, zaprasza wszystkie dawne uczenice, grono nauczycielskie i przyjaciół zakładu, do wzięcia udziału w obchodzie jubileuszowym dnia 21 b. m. W tym celu rozesłane będą zaproszenia imienne, zawierające program uroczystości.

Gdyby która z wyżej wymienionych osób do dnia 17 b. m. nie otrzymała zaproszenia, a miała zamiar uczestniczyć w obchodzie, zechce zgłosić się do pań: Heleny Skólimowskiej (ul. Ossolińskich l. 11), Marji Sieradzkiej (ul. Bielowskiego l. 4), Olgi Kövess (ul. Łyczakowska l. 3) i Jadwigi Sahaydakowskiej (ul. Chorążczyzna l. 13) listownie lub osobiście, pomiędzy godziną 3—4 po południu, w dniach 18, 19 i 20 b. m.

**Uregulowanie pisowni niemieckiej.** Z Wiednia donoszą nam: W ministerstwie oświaty odbyła się ostateczna konferencja w sprawie uregulowania niemieckiej ortografii szkolnej. Minister Hartel przedstawił przebieg całej akcji. W marcu b. r. uchwaliła zwołana w tym celu ankieta, aby naczelny zarząd szkolny wszedł w kontakt z rządami reszty niemieckiego obszaru językowego, celem ujednostajnienia pisowni. Na mocy uchwał ankiety, złożono pod przewodnictwem krajowego inspektora szkolnego, radcy dworu Huemera, osobny komitet z 5 członków, który miał dokonać rewizji obecnych austrjackich „Prawideł pisowni“. Ponieważ i w państwach Rzeszy niemieckiej odczuwano brak jednolitości w zasadach niemieckiej pisowni, przejawiający się także w prasie, przeto porozumienie się z zagranicą przyszło łatwo do skutku. W Berlinie podjęto również energiczną akcję Delegaci rządów państw związkowych, powołani do Berlina, odbyli tam w dniach od 18—20 czerwca b. r. konferencję, celem wyrównania różnic, pomiędzy rozmaitymi podręcznikami „Pr episów ortografii“. Z ramienia Austrji uczestniczył w konferencji tej, radca dworu Huemer. Wnioski i życzenia wyrażone przez Austrję zyskały na tej konferencji zupełne uznanie. Między innemi orzeczono zaniechać pisowni (t)*h*, zastosować bardziej pojedyńcze formy głoski *s*, dalej, bardziej proste formy *fing*, *ging*, *hing*, *gib*, i *gibst* (z opuszczeniem samogłoski *e*), zatrzymać *ieren* w *regieren*, *studieren* i t. p. Co do wielkich liter na początku słów, zatrzymano dotychczasowe normy. Co do pisowni słów z obcych języków' pierwszeństwo przyznano pisowni przez *k* i *z*. — Stosownie do uchwał berlińskiej konferencji, opracowano na nowo austrjackie „Prawidła pisowni“ (*Regel- und Wörterverzeichniss*), naturalnie z uwzględnieniem potrzeb szkół austrjackich. Nowe prawidła pisowni niemieckiej wyjdą wkrótce z druku. Elementarze w przyszłym roku szkolnym będą już ułożone według nowej ortografji, a w przeciągu 5 lat, ma ona być zastosowaną we wszystkich szkolnych podręcznikach. Do wprowadzenia tej nowej ortografii wezwano wiedeńskie towarzystwo dziennikarzy *Concordia*, drukarnie, instytucje i t. d.

**U progu zimy.** Jesienny wicher zahuczał po raz ostatni, zarząsł suche drzew konary i ostatnie strącił liście. Jesień skonała. Ostatni szelest spadających liści był jej ostatniem westchnieniem — żółtą jej mogiłę pokryła biała szata zimy.

Dachy domów, ulice, ogrody i parki, pokryte dziś białą sukienką. Ale to preludjum do wielkiej zimowej symfonji, szybko przeminie i zniknie. Wielkie miasta, gniazda podłości i zbrodni nie znoszą niewinnej, srebrno-białej szaty. Czysty biały puch łabędzi roztapia się, ginie i zamienia w czarne błoto.

Tam, hen w górze, na obłokach, bawią się dziś aniołowie i rzucają na ziemię miljardy białych *confetti*. Rozsrebrzone, skrzące płatki lecą i wnet suche drzew gałęzie okrywa biała opona...

Jasna, czysta, rozsrebrzona,
Niby lekki puch
I zawisa, ak anioła
Śmierci, skrzydła srebrnopióre,
Ponad zmarłym, kiedy w górę
Już odleciał duch.

Ulice Lwowa ślizgie i ludzie stąpają uważnie, bacząc, by dziś już nie zainaugurować szeregu upadnięć w tej zimie. Dżentelmeni powyciągali futra. Czuć je mocno naftaliną. Zbudzone mole złorzeczą i zabierają się do roboty około letnich palt które poszły na odpoczynek do szaf i kufrów.

Matki i ojcowie ostrzegają dziś swoje pociechy, które „opatuchane“ udają się do szkoły, aby szły uważnie, bo się poślizgną. Łyżwiarze, otrzepawszy z pyłu halifaksy, czyszczą je *glaspapierem* i patrzą, żali im jakiej śrubki nie brakuje. Dorożkarze myślą o sannie — bo koniom lżej, nemrodzi o polowaniu, handlarze drzewa o zarobku, odźwierni o posypywaniu chodników (oby!), pantoflarze o ciepłym piecu. Gromady wróbli odbywają narady i świerkają: „co to będzie, jeżeli nam dobre, białe ręce nie wysypią okruszyn przed okno“.

Niechże te dobre, białe ręce, pamiętają o tem.

**Biedne boćki.** Na zmarzniętych i śniegiem pokrytych łąkach, ciągnących się za browarem Grunda między łyczakowskim gościńcem, a lesienickim lasem, widziano wczoraj parę bocianów, chodzących smutnie po ostatnim skrawku niezamarzniętej ziemi, nad brzegiem rowu wodą napełnionego. Pastuszek, który w tem miejscu, na szkarpach gościńca pasł krowy przez lato i otoczenie swe obserwował, twierdzi, że bociany te przyleciały tu przed 4 miesiącami dopiero, pobudowały sobie w lesie gniazdo i teraz hodują w niem swoje młode. Prawdopodobnie, bocianom tym zrzucono gdzieś z dachu chaty, ich pierwsze gniazdo z jajami lub młodemi, nim je wychować zdołały. Oburzone ptaki opuściły towarzystwo niegościnnych ludzi, przeniosły się do spokojnego lasu i jako tako drugie gniazdo sobie zbudowawszy zajęły się wychowaniem piskląt po raz drugi. Niestety, nie obliczyły się poczciwe boćki z czasem. Nim bocianięta skrzydeł użyć zdołały, przyszedł mróz i śnieg. Stare bociany nie chcąc dzieci swych w gnieździe opuścić, pozostały. Cała bociania rodzina, skazana jest bezwzględnie na śmierć z głodu i zimna. Jakby w przeczuciu tego, co je czeka, chodzą boćki po zmarzniętej łące smutne, napróżno szukając pożywienia. A tam, w lesie, giną pisklęta ich głodem i mrozem dotknięte! — Kto wie, może już mroźna noc ubiegła, przyniosła śmierć całej bocianiej rodzinie! Biedne boćki!

**Wyrok.** Proces przeciw Thornowi i Baranowi, lwowskim kupcom, którzy zbankrutowawszy wyłudzali dalej od licznych kupców towary i manipulowali w karygodny sposób z wekslami, skończył się onegdaj o godzinie wpół do 4 rano. Sędziowie przysięgli wydali werdykt potępiający, a trybunał skazał Thorna na rok zwykłego, a Barana na $1\frac{1}{2}$ roku ciężkiego więzienia.

**Uznanie marnotrawcą.** *Gazeta lwowska* ogłasza w edyktach urzędowych, że dr. Jan Czerwiński, były właściciel zakładu wodoleczniczego w Fürstenhofie, został uznany marnotrawcą. Kuratorem jego został mianowany dr. Skąpski, adwokat w Krakowie.

**Kawalerska jazda.** Powóz, wiozący od ślubu do domu weselnego drużki, przejechał wczoraj przy ul. Krakowskiej Marję Sowę, służącą. Koła powozu przeszły jej przez pierś i rękę. Sowa, potłuczona boleśnie, choć nie niebezpiecznie, poddała się oględzinom sądowo lekarskim i wystąpi ze skargą.

**5 tomów** leksykonu Mayera, znalezionych przed 6 dniami o godzinie 6 rano w krzakach na Wałach Hetmańskich, złożył wczoraj na policji Jan Ruczkal.

**Towarzystwo dermatologiczne.** Jak donosi *Przegląd lekarski*, w Krakowie zawiązało się towarzystwo dermatologiczne, którego celem jest „utrzymanie się na równi z dzisiejszym stanem dermatologji, przyczynianie się do jej postępu, zwłaszcza w kierunku praktycznym i oznajamianie zagranicy z polskiem piśmiennictwem w zakresie dermatologji“. Na pierwszem posiedzeniu wybrano urzędników towarzystwa, mianowicie: prezesem prof. dra Reissa, wiceprezesem dra Schwarza, podskarbim dra Boczara, sekretarzami dra Żydłowicza i dra Pacynę. Po ukonstytuowaniu się, odbyło się posiedzenie naukowe.

**W Stanisławowie** aresztowano siostrę Szaszkiewicza, gdyż przy rewizji znaleziono u niej 400 zł., które zatrzymała z pieniędzy, zdefraudowanych przez jej brata w filji Banku hipotecznego w Stanisławowie.

**Strejk w fabryce zapałek w Skolem.** *Naprzód* donosi: W skolskiej fabryce zapałek, należącej do Lipschütza, wybuchł strejk. Już od dawna panowało wśród robotników wrzenie, z powodu znęcania się i strasznego wyzysku, jakiego Lipschütz dopuszczał się na robotnikach. Bezpośrednim powodem strejku było, iż Lipschütz wyrzucił z pracy 5 robotników, za to, że należeli do organizacji. Za wydalonymi ujęła się cała fabryka, a gdy Lipschütz nie chciał wydalonych napowrót przyjąć, wszyscy robotnicy w liczbie około 200 porzucili pracę. W strejku bierze również udział około 80 kobiet.

Żandarmerja uwięziła 3 robotników.

**Dezerter.** Komenda 77 pp. załogującego w Samborze, zawiadomiła tutejszą dyrekcję policji, że kapral tego pułku Piotr Kinasz, były chórzysta teatralny, który przed kilku dniami otrzymał jednodniowy urlop do Lwowa, dotychczas nie powrócił.

**Jubileusz akademickiego towarzystwa „Ognisko“ w Czerniowcach.** W bieżącym miesiącu upływa ćwierć wieku od chwili założenia w Czerniowcach towarzystwa polskich akademików „Ognisko“. Po Czytelni polskiej jest to zatem najstarsza instytucja polska w stolicy Bukowiny, a ma ważne zadanie utrzymywania i rozwoju poczucia narodowego wśród akademickiej młodzieży polskiej, narażonej na wynarodowienie się. Wydział towarzystwa postanowił obchodzić uroczyście 25-lecie istnienia „Ogniska“ i w tym celu — jak donosi czern. *Gazeta polska* — utworzył się komitet, dla przygotowania obchodu. Na czele komitetu stoją pp.: prof. dr. Halban, jako przewodniczący i adwokat dr. Strzelbicki, jako jego zastępca. Komitet postanowił urządzić obchód jubileuszowy na dniu 15 grudnia zb. z następującym programem: 1. Uroczyste nabożeństwo w rz. kat kościele parafjalnym; 2. przyjęcie gości w sali Czytelni polskiej, gdzie zostaną wygłoszone uroczyste przemowy; 3. wspólne śniadanie; 4. zwiedzenie miasta: 5. wieczorem: wielki komers. Nie wątpimy, iż akademickie stowarzyszenia w Galicji wezmą żywy udział w tem wielkiem święcie polskiej młodzieży na kresach.

# Z kraju.

**Tarnopol.** (*Aresztowanie oszusta*). Banmistrz Konkiewicz, który popełniał wspólnie z uwięzionym już starsz. inżynierem Olszańskim w Podwołoczyskach oszustwa w zaliczaniu kolei robotników i materjałów, został na rekwizycję tutejszej prokuratorji aresztowany w Krakowie na Zwierzyńcu i do tutejszego więzienia odstawiony.

---



* **Anna Judic**, słynna paryska diva operetkowa, przybyła do Lwowa i wystąpi 3 dni z rzędu, począwszy od środy 13 bm. w Colosseum. Repertuar jej zawiera: „Lili“, „Niniche“, „Nitouche“, „Femme á Papa“ i furorę wywołujące paryskie oryginalne piosnki „nadsceny“ (Überbrettl).

* **Wyjątkowa nędza.** Znowu jeden rażący przykład niewdzięczności społeczeństwa dla tych, którzy mu życie całe żmudnej pracy niosą w ofierze. Oto dowiadujemy się, że w miasteczku M. nad Dniestrem żyje w ostatniej nędzy, samotna i opuszczona przez wszystko i przez wszystkich p. C. P. sierota po zasłużonym bardzo obywatelu, żołnierzu wojsk polskich, który sprawując przez lat 40 blisko ciężki zawód nauczyciela, a zarazem zarząd gospodarki tegoż miasta, położył podwaliny dobrobytu jego mieszkańców i wprost nieocenione oddał usługi.

W zamian za to rzucono dziecię jego na pastwę losu, tak, że złożona obecnie chorobą, bez sposobu wyjścia ze straszliwej sytuacji, widzi się nieszczęśliwa bezradną w obliczu śmierci głodowej.

* **Bilety na raut** z tańcami, który odbędzie się we wtorek dnia 12 listopada b. r, nabywać można za okazaniem zaproszenia w poniedziałek w „Czytelni akademickiej (Pasaż Mikolascha II piętro), we wtorek w Kasynie miejskiem od godziny 9 rano do 8 wieczorem,

* **Posiedzenie naukowe** polskiego Towarzystwa przyrodników im. Kopernika, odbędzie się we wtorek dnia 21 listopada b. r., o godzinie 6 wieczorem w sali instytutu chemicznego uniwersytetu ((ulica Długosza). Na porządku dziennym: 1. Prof. dr. Laska: „O ostatniem trzęsieniu ziemi w Galicji“. 2. Prof dr. Siemiradzki: „Stratygrafia utworów górnokredowych w Galicji“.

* **Zgromadzenie tygodniowe** Towarzystwa politechn. odbędzie się we środę dnia 12 listopada b. r. o godzinie 7 wieczorem w lokalu Towarzystwa politechnicznego we Lwowie, ulica Chorążczyzny l. 17, I. piętro. Na porządku dziennym: Referat p. Hermana F. Idsteina, o uchwałach zjazdu w sprawie kredytu przemysłowego i zakończenie dyskusji o uchwałach zjazdu.

**Składki na cele użyteczności publicznej lub narodowej.**

Na przytulisko Brata Alberta, złożyła rodzina Strzeleckich w miejce wieńca dla ś. p. Karola Seyfartha 10 kor.

Na Tow. opieki nad niemowlętami korporacja Stow. przem rzeźników składa ściągniętą karę 6 kor.

Dla C. P. w M., złożyli pp.: Z. Cz ze Lwowa 1 kor., N N. z Borek Wielkich 4 kor, S Z. ze Żółkwi 2 kor, Tlukowicz z Sambora 3 kor.

Na głodne dzieci złożył p. Z Cz ze Lwowa 1 kor.

# Notatki literackie i artystyczne.

**Repertoar teatru miejskiego we Lwowie.** Dziś w poniedziałek „Pan sędzia“, komedja w 3 aktach Aleksandra Bissona.

Jutro we wtorek (po cenach operetkowych) „Jaś i Małgosia“, opera w 3 aktach, a 5 odsłonach Engelberta Humperdincka

W środę „Pan sędzia“, komedja.

We czwartek po raz pierwszy w tym sezonie „Manon“, opera w 4 aktach I Massenet'a. Występ panny Ireny Bohussównej. W partji kawalera de Grieux, wystąpi po raz pierwszy w tym sezonie p. Drzewiecki, a w partji Bretigny'ego p. Ludwig, partję Pousette, po pani Ruszkowskiej, objęła pani Kliszewska, a po pannie Schuppównej, panna Ludkiewiczówna.

W piątek po raz pierwszy „Bajka“ („*Das Märchen*“), sztuka w 3 aktach Artura Schnitzlera, z udziałem p. Kamińskiego.

**Drugi i ostatni koncert** słynnego skrzypka Willy Burmestra i pianisty berlińskiego Mayer-Mahra, odbędzie się we wtorek 12 listopada w sali Domu narodnego o godzinie wpół do 8 wieczorem.

**Przekłady z polskiego na rosyjskie:** Bolesława Prusa „Przygodę Stasia“ wydał komitet Towarzystwa charkowskiego dla rozpowszechnienia oświaty wśród ludu.

— „Krysta“ Marji Konopnickiej ukazała się w przekładzie rosyjskim w Moskwie, z dopiskiem na tytule: „Opowiadanie dla dorosłych“.

Czwarte wydanie Sienkiewicza „Quo vadis“ odbite zostało w 6000 egzemplarzy (Moskwa 1901).

**Setna rocznica urodzin Wiktora Hugo**, przypadająca dnia 26 lutego 1902, obchodzona będzie we Francji jako święto narodowe. Tak postanowiła francuska rada ministerjalna.

**J. I. Kraszewskiego „Rzym za Nerona“** ukazać się ma obecnie w przekładzie francuskim. Tłómaczenia dokonali pp. L. de Brockere i hr. Fleury. Książka będzie ozdobiona licznemi ilustracjami.

# W sprawie „Bluszczu“.

Po zbadaniu przyczyn nieregularnej w ostatnich dwu kwartałach b. r. przesyłki *Bluszczu* z Warszawy, mamy obowiązek donieść prenumeratorom, którzy nie otrzymali jeszcze nr. 39, z poprzedniego kwartału, oraz numerów z października i z listopada, że numera te dotąd nie wyszły wcale, i nietylko nam ich nie nadesłano, ale nikomu z księgarzy, według informacji, udzielonej nam przez księgarnię pp. Gubrynowicza i Schmidta, która ma zastępstwo *Bluszczu* na Lwów.

Jak zdołaliśmy się dowiedzieć, wydawnictwo *Bluszczu* w Warszawie jest obecnie w fazie przejściowej i ma być objęte przez inną firmę, która wydawnictwo to dalej regularnie poprowadzi.

Całe zapotrzebowanie nasze *Bluszczu* **zapłaciliśmy firmie wydawniczej p. Michała Glücksberga z góry po koniec roku 1901** i wina za nieregularną ekspedycję *Bluszczu* bynajmniej na nas nie cięży. Zapewniamy zarazem prenumeratorów naszych, którzy *Bluszcz* za kwartał ostatni zapłacili, że nie poniosą żadnej straty. Prosimy tylko o cierpliwość i zaniechanie reklamacyj do czasu, w którym się sprawa z wydawnictwem *Bluszczu* ureguluje. Numera, które nadejdą z Warszawy — co mamy nadzieję że wkrótce nastąpi, — rozesłane zostaną natychmiast p. t. prenumeratorom, wszelkie zatem reklamacje *Bluszczu* pozostaną na razie bez odpowiedzi.

**Wydawnictwo „Dziennika Polskiego“.**

# Z sali koncertowej.

(*Koncert Willy Burmestera, skrzypka i p. Mayer-Mahra, profesora z Berlina, pianisty*).

W atmosferze gorączkowego oczekiwania niezwykłych wzruszeń i wrażeń muzycznych, dał się słyszeć po raz trzeci w naszem mieście, zimny napozór i spokojny — niby zakamieniały w swojej dumie artystycznej — genjalny Burmester.

Wszyscy ci, którzy w roku zeszłym słyszeli tego czarodzieja skrzypiec, nie mogli się oprzeć pokusie i pociągnąwszy za sobą tłum ciekawych, dla których Burmester był tylko postacią znaną z dziennikarskich sprawozdań, zapełnili szczelnie jedyną (niestety) względnie możliwą i akustyczną salę Domu narodnego. A więc naprzód Beethoven, ten wielki pan w muzyce, przechodzi bez większego wrażenia, bo brak jeszcze w tłumie słuchaczy naprężenia uwagi, oczy strojnych i roztrzepanych balowo pań ześlizgują się bezmyślnie po postaci artysty, po jego twarzy ciekawej i ogromnie charakterystycznej, po subtelnych, kobiecych prawie rękach skrzypka, w których drzemie zaklęty czar melodji. Potem wrażenie wzrasta; Bach w interpretacji Burmestera traci swoją pewną oschłość i staje się bardziej nowym. Skrzypce Burmestera łkają przedziwnie, nie jest to już gra wirtuoza, ale śpiew jakiś nieziemski, zatraca się zupełnie materjalne połączenie smyczka i struny, tylko płynie rozlewną falą melodja, to idealne „canto“, pełne nieopisanych odcieni i barw groteskowych. Największe jednak wrażenie robią ustępy, grane na strunie „g“, a mające emitować śpiew wiolonczeli. Burmester, ze wzrokiem wbitym w ziemię, jakby zaczarowany sam swoim śpiewem, wydobywa ze skrzypiec głębokie zawrotne tony, crescendo w partyturze pod jego smyczkiem dochodzi do tak olbrzymiej, pełnej siły, że przez audytorjum za każdym razem przechodzi dreszcz zgrozy, obejmuje całą salę, aż wkońcu ginie gdzieś pod sklepieniem kolumn. Od czasu do czasu daje nam Burmester wytchnąć po tylu ogromnie silnych wrażeniach, gra rzeczy lżejsze, techniczne tylko.

Koncertant techniką jednak sam się nie lubuje, uważając ją za środek konieczny do osiągnięcia możliwie największej doskonałości. A dalej posiada Burmester smak artystyczny i poczucie stylu muzycznego. Stosownie do utworu zmienia on pociągnięcia smyczka, barwę tonu i dynamikę. Przypomnę tylko wykonanie „Rondo capriccioso“, Saint Saënsa i „Air“ Bacha. Bogaty program objął jeszcze „Melodie“ Masseneta, „Valse lento“ Burmestra M rikanto i „Air hongrois“ Ernsta.

Pianista p. Mayer-Mahr okazał się niezrównanym akompaniatorem, ale jako kompozytor, zachwycał się chyba sam najwięcej swymi banalnymi utworami. *H. Z.*

# Nasze stosunki rzeźnicze

II

W artykule poprzednim omówiliśmy stosunki między rzeźnikami bydła drobnego; obecnie przechodzimy do rzeźników bydła „grubego“, czyli tak zwanych „wołowych“. Tu oczywiście nie ma mowy o niechlujstwie i nieczystości, lub wogóle o sprzedaży mięsa z bydląt chorych, rozumie się o tyle, o ile rozchodzi się o mięso, bite we Lwowie. Nawet co się tyczy mięsa, przywożonego do Lwowa z rzeźni prowincjonalnych, to skutkiem surowej kontroli i masowych konfiskat zaraz z chwilą otwarcia nowej rzeźni miejskiej, zapanowały pod tym względem stosunki dość znośne. Tu więc idzie tylko o niestosunkową drożyznę tego mięsa, niezbędnego na pokarm ludności stolicy.

Drożyzna ta nieszczęsna datuje się od chwili, kiedy przed laty kilku dostawę mięsa dla wojska oddano spekulantowi węgierskiemu. Było wielu, którzy nie mogli sobie wytłumaczyć, jakim to sposobem się stało, by utrata dostawy dla załogi wpłynąć miała na podwyżkę cen mięsa. A jednak było to całkiem naturalne, jak się później wykazała. Niezrozumiałem wprost jest jednak, że wysokie ceny się utrzymały, a nawet jeszcze podniosły, choć dostawy dla wojska wróciły napowrót do lwowskich rzeźników. Pozwolimy sobie odkryć rąbek tej tajemnicy, powodującej drożyznę.

Oto niktby się pewno nie domyślił, że my właściwie mamy mięso wołowe z drugiej ręki, od żydów. Tak jest, nieprawdopodobne to, ale prawdziwe. Biją wprawdzie bydło grube, rzeźnicy chrześcjanie, nieliczni, bo firmy te na palcach policzyć można, ale z wyjątkiem jednego, jedynego (Barszczewskiego) biją dla żydów, którzy biorą dla siebie części przednie i to ze sztuk, uznanych bezwarunkowo za „koszerne“, „trefne“, zaś i części tylne dalej nam na sprzedaż wyrębują. Oczywiście te przez chrześcjańskich rzeźników wprowadzone bydlęta, rzeza, „szechter“ żydowski, pobierający pokaźne opłaty rzeźniane, które rozumie się wliczone bywają w koszt produkcji na naszą szkodę i powodują zdrożenie mięsa. Gdybyż to jeszcze tylko o to chodziło, ale nie; jest jeszcze osobna opłata od bydła, które zarzeza szechter, na rzecz kahału, pobierana tytułem podatku na fundusz gminy żydowskiej. Przy takiej skombinowanej chrześcjańsko-żydowskiej rzezi bydła, łatwo pojąć, że chrześcjanie konsumenci i ten podatek opłacają, no! i przyczyna drożyzny, leży jasno, jak na dłoni.

Że to, cośmy napisali, nie jest ani tendencyjne, ani urojone, ani wyssane z palca, ale oparte na pozytywnej podstawie, dowodzi fakt, że sama władza państwowa zdecydowała się nareszcie wglądnąć w tę sprawę. Mówi o tem znamiennie:

*okólnik namiestnictwa we Lwowie z dnia 30. września 1901 l. 59942 wystosowany do wszystkich starostów i prezydentów król. stoł. miast Lwowa i Krakowa.*

Oto czytamy w tym okólniku, co następuje:

„C. k. krajowa Dyrekcja skarbu odezwą z dnia 30 stycznia 1901 l. 87161 objawiła zdanie, że pobieranie przez izraelickie gminy wyznaniowe w Galicji opłat szechterskich od rzezi bydła i opłat od koszernego mięsa wywiera w całym prawie kraju ujemny wpływ na dochód skarbu Państwa z podatku konsumcyjnego od mięsa i nadto obciąża nietylko ludność izraelicką, ale także ludność chrześćjańską i oświadczyła się za zniesieniem tych opłat.

Wskutek reskryptu ministerstwa wyznań i oświecenia z dnia 28 maja 1901 l. 861/c. U. M. poleca się panu staroście (panu prezydentowi), aby w porozumieniu z właściwą dyrekcją okręgu skarbowego, przeprowadził jak najdokładniejsze dochodzenia w kierunku sprawdzenia, rzekomo ujemnego wpływu w mowie będących opłat na dochód skarbu państwa z podatku konsumcyjnego od mięsa i ewentualnie zmniejszenie się rzeczonego dochodu skarbowego w poszczególnych izraelickich gminach, tamtejszego okręgu administracyjnego, oznaczył cyfrowo.

Wynik zechce pan starosta (pan prezydent) przedłożyć namiestnictwu do końca roku 1901.“

Skromne to, co prawda wezwanie, ale zawsze już zrobiono jakiś początek. Od sprawozdania sumiennego starostów, względnie prezydentów stolicy, zależeć będzie dalsza w tej sprawie, bardzo ważnej, inicjatywa rządu, mająca na celu uchronienie ludności od wyzysku rzeźniczego, względnie kahalnego.

Prócz wymienionych wyżej, są jeszcze inne czynniki, czysto wewnętrznej natury, które stosunki rzeźnicze u nas we Lwowie, czynią dość smutnymi. Jest to w pierwszym rzędzie brak reorganizacji zawodowej. Jest u nas wprawdzie przymusowa korporacja rzeźników, ale jest też ona pono całem nieszczęściem dla rzeźników chrześcjańskich. Korporacja to wielka, bo obejmuje trzystu kilkudziesięciu członków, ale gdy się od tego odliczy żydów, przeciwnych z góry jakiemukolwiek postępowi, a dalej całą falangę zacofanych tak samo rzeźników drobnego bydła i świń (choć i tu są wyjatki), zobaczymy, że w tej korporacji nie da się nic zrobić dla dobra i publiczności i samych rzeźników.

A przecie mogłoby być inaczej, gdyby rzeźnicy chrześcjańscy, wziąwszy się za ręce, poszli solidarnie i utworzyli cech własny na wzór krakowskiego, chlubnie spełniającego swe obowiązki z pożytkiem i dla rzeźników i dla konsumentów. Do czego może doprowadzić taka silna organizacja, przykład w tym cechu krakowskim.

Jest on silnym finansowo, bo posiada do 100.000 zł. kapitału i realność, oraz stajnie na targowicy, z której ciągnie dochody. Inaczej się też tam dzieje i mięso jest tańsze. Chrześcjanie dla siebie, a żydzi dla siebie, winno być i w naszej korporacji rzeźniczej hasłem. Zniknęłaby wówczas niewolnicza i poprostu hańbiąca zależność od kahału i „szechterów“ żydowskich i lepszeby zapanowały stosunki w tej dziedzinie przemysłu.

Cech taki nie byłby zresztą niczem nowem, tylko wznowieniem tego, co było. Jest nawet — o ile się dowiadujemy — i fundusz pewien, pozostały z dawnego cechu rzeźniczego chrześcjańskiego i statuty, któreby tylko zreformować trochę należało. Ustawy takie cechowe doprowadziłyby z pewnością lepiej do porządku stosunki rzeźnicze u nas, niż paragrafy ustawy przemysłowej dzisiejszej, elastyczne, jak guma i dające się zawsze przystosować najlepiej dla, tych, którzy krzyczeć umieją i krzykiem tym teroryzować pragnących postępu i reform.

# Izba sądowa.

**(Znowu proces wojskowy.)**

**Kraków** 11 listopada. Dzisiejsza rozprawa rozpoczęła się o 9-tej rano. Do rozprawy stawił się pułkownik-audytor Zacharjasz Pawluch z Wiednia. Osobno przybył major-audytor Finkel z Przemyśla, celem przysłuchiwania się rozprawie. Pułkownik Pawluch zeznaje, że nigdy nie tłumaczył artykułów *Głosu przemyskiego* i wogóle nie przedkładał tłumaczeń żadnych artykułów dziennikarskich ministerstwu wojny. Zadanie tłumaczenia takiego należało do kogo innego. Świadek określa jako oszczerstwo nazwanie go przez *Naprzód* moskalofilem; jest oficerem austrjackim i w politykę się nie bawi.

Uczęszczał do szkół w Krakowie, ukończył tu gimnazjum św. Anny, potem uczęszczał na uniwersytet; nigdy moskalofilem nie był. Na zapytanie obrony wyjaśnia, że na polecenie komendanta korpusu przedkładał mu nieraz koncepty relacyj o artykułach dziennikarskich i czasem do takiego konceptu kilka wierszy dołączył. Relacyj sam ministerstwu nie przedkładał, koncepty zaś takie były zawsze prawdziwe, nigdy fałszywe.

Przewodniczący uchylił pytania obwinionego Kaczanowskiego, dlaczego świadek uważa nazwę „Moskalofil" za ubliżającą, skoro wielcy książęta rosyjscy są właścicielami pułków austrjackich, — czy ma braci i jakie gazety polecał im czytać, podobno rosyjskie. Obwiniony odwołał się do uchwały trybunału, przewodniczący atoli oświadczył, że nie widzi powodu poddawać swej decyzji pod uchwałę trybunału. Następnie ogłosił przewodniczący uchwałę trybunału, odrzucającą wszelkie wnioski obrony, postawione w piątek, co do wezwania rozmaitych świadków na różne szczegóły, będące w związku z zajściami przemyskiemi, — ponieważ nie wymaga tego odrębna istota obecnego procesu.

Obwiniony Kaczanowski stawia wniosek wezwania kilku świadków na dowód, że nie był wówczas w Krakowie, gdy *Naprzód* ogłosił kilka inkryminowanych artykułów, jakkolwiek gdyby był w Krakowie nie byłby się sprzeciwiał ich wydrukowaniu. Obrońca Marek wnosi o powołanie kilku świadków celem stwierdzenia, że słyszeli o przedkładaniu fałszywych raportów komendzie korpusu, jakoby robotnicy przemyscy dążyli do oderwania Galicji od Austrji, co sprowadziło na nich rozmaite represalja. Godz. 11½ rozprawa trwa dalej.

Trybunał odrzucił wnioski dra Marka i dalsze wnioski dra Frühlinga o sprowadzenie z Wiednia, z ministerstwa wojny raportów pułkownika Pawlucha, bo ministerstwo wyjaśniło już, że żadnych raportów p. Pawlucha nie posiada.

Przewodniczący przedłożył kilka aktów, między nimi pismo krakowskiej dyrekcji policji o rozkładzie pracy w redakcji *Naprzodu* i stosunków służbowych współpracowników tego pisma.

Osk. Kaczanowski oświadcza, że pismo to nie zgodne jest z istotnym stanem rzeczy i tylko mistyfikuje sąd. Przewodniczący zwraca uwagę oskarżonego, że nie pozwoli obrażać władzy państwowej przez zarzut mistyfikacji. Zeznawał jeszcze św. p. Czaki, stwierdzając, że p. Kaczanowskiego nie było w redakcji, gdy drukowano kilka z inkryminowanych artykułów.

Po dodatkowem wyjaśnieniu, że pułkownik Pawluch na rozprawę w piątek z powodu choroby stawić się nie mógł, zarządził przewodniczący przerwę. Postępowanie dowodowe już ukończone.

Wyrok nastąpi popołudniu.

## Do opozycyj?

O przebiegu konferencyj, jakie odbywała deputacja miasta Lwowa z Kołem polskiem w Wiedniu, zamieściła *Gazeta Narodowa* sprawozdanie, które, co do niektórych szczegółów, nabiera znaczenia politycznego, a sięgającego już poza zakres mandatu rzeczonej deputacji. Sprawozdanie to brzmi:

„We środę przybyła do Wiednia liczna, bo aż pięciu członków licząca deputacja lwowskiej rady miejskiej w sprawie wyjednania zasiłków ze strony państwa na asanację miasta Lwowa. Deputacja ta przybyła cokolwiek za wcześnie i cokolwiek za późno. Za wcześnie, gdyż wiadomo jej było, że nie nadeszły tu jeszcze ze Lwowa akta, dotyczące przedmiotów, o których ma być mowa; zapóźno, ponieważ posłowie m. Lwowa. a zwłasza minister dr. Piętak, który jest wzorem uosobionej gorliwości obywatelskiej, a wreszcie i całe Koło polskie i bez przypominania im tego obowiązku, z pewnością nie zaniedbali i nie zaniedbają niczego, ażeby słuszne żądania miasta Lwowa poprzeć. A zwłaszcza zupełnie nieodpowiednim środkiem zachęty do tego jest buńczuczny i obraźliwy sposób, w jaki przemawiał do komisji parlamentarnej przewodnik deputacji dr. Małachowski. Groził on mianowicie przejściem Lwowa do opozycji, jeżeli Koło polskie nie wyjedna bezzwłocznie żądanego zasiłku ze skarbu państwa dla m. Lwowa. Na to pozwoli p. prezydent odpowiedzieć sobie, że jak miasto Lwów z innych wyższych zasadniczych względów dotąd nie poszło do opozycji, tak i nadal z tych samych względów wytrwa w kierunku postępowej i demokratycznej, a zarazem i wytrwanej polityki umiarkowanej, bez względu na to, czy dr. Małachowski okaże się mniej lub więcej rozdrażnionym".

Sprawozdanie to dało asumpt *Czasowi* krakowskiemu do bardzo surowej krytyki pod adresem dra Małachowskiego, któremu radzi, iżby nie wychodził poza zakres swego działania i nie „robił polityki na własną rękę.

Wyznajemy, że i nas uderzyła owa groźba p. prezydenta, uczyniona imieniem stolicy kraju w kierunku, który nie należy do mandatu deputacji. Jak długo jednak dr. Małachowski nie oświadczył się, co do prawdziwości doniesień *Gazety narodowej*, wstrzymujemy się z wypowiedzeniem opinji własnej, bo poprostu, wydaje nam się nieprawdopodobnem tego rodzaju wystąpienie przewódcy deputacji.

## DEPESZE telegraficzne i telefoniczne.

### Złożenie przysięgi.

**Wiedeń** 11 listopada. Nowi tajni radcy, między nimi p. Bobrzyński, złożyli dziś przysięgę w ręce cesarza, poczem monarcha przyjął ich na audiencji. Przy zaprzysiężeniu interweniował br. Gołuchowski.

### Rozruchy w Hiszpanji.

**Madryt** 11 listopada. Z okazji wyborów do zarządów municypalnych przyszło w kilku miejscowościach do zaburzeń. W Madrycie wybrano po raz pierwszy socjalistę; w kilku miastach prowincjonalnych zwyciężyli republikanie i socjaliści. W Barcelonie urządziła grupa studentów katalońskich demonstrację, zwróconą przeciw 3 oficerom, których studenci wygwizdali, poczem obrzucili kamieniami wóz tramwajowy. Inna znowu grupa demonstrantów poturbowała dwóch przechodniów, którzy rozmawiali po hiszpańsku. Przedstawienia w teatrach odwołano.

### Wybuch bomby.

**Paryż** 11 listopada. Wczoraj wieczorem eksplodowała w bazarze ratusza petarda, sprawiając wielką panikę wśród licznych osób, zwiedzających bazar. Pominąwszy nieznaczne szkody, nie spowodował wybuch zresztą żadnego nieszczęścia. Sprawkę tę przypisują służbie bazarowej, która domaga się zamknięcia bazaru w niedzielę.

**Kraków** 11 listopada. Franciszek Wyspiański, ojciec Stanisława Wyspiańskiego, rzeźbiarz, zmarł wczoraj w 65 r. życia, w zakładzie Helclów.

**Kraków** 11 listopada. Arcyksiążę Franciszek Ferdynand z małżonką przejechał dziś rano pospiesznym pociągiem przez Kraków, z Wiednia do Łańcuta. Wczoraj przyjechali do Łańcuta minister sprawiedliwości Spens Booden i wielki ochmistrz dworu ks. Liechtenstein.

Kardynał ks. Puzyna wyjechał wczoraj po południu do Wiednia.

## Kronika z ostatniej chwili.

**Nowy wiceprezydent** rady szkolnej krajowej dr. Edwin Płażek objął dziś urzędowanie. W urzędowanie wprowadził go p. namiestnik, przedstawił go członkom rady szkolnej, podniósł zalety nowego wiceprezydenta i wyraził nadzieję, iż pod przewodnictwem p. Płażka rada szkolna pomyślnie będzie się rozwijała.

Imieniem członków rady przemówił do nowego wiceprezydenta ks. Lenkiewicz, imieniem inspektorów p. Franke, a imieniem urzędników radca namiestnictwa p. Reiner. P. Płażek serdecznie za powitanie podziękował.

**Jak książęta**, spali wczoraj noc całą lekarze i służba stacji ratunkowej. Ani jednego wypadku nie zanotowano przez noc całą! Czyżby mróz i śnieg podziałał tak dobroczynnie na rozgorączkowane głowy „bijącego się Lwowa", że tenże ze zwykłych swych niedzielnych bitek zrezygnował?

**Mokre sprzeniewierzenie.** Jan Socha, drągarz, wiózł z kolei beczkę wina. Ponieważ dokuczało mu pragoienie, wywiercił świderkiem dziurkę w beczce, utoczył 3 litry wina i wypił je. Ma teraz za to gruby kłopot.

**Zegarek złoty**, wartości 240 koron skradziono z domu słuchaczowi politechniki Czesławowi Krause.

**Duży dywan** ukradli gdzieś Jakób Elsner i Karol Leszczyszyn i nieśli go o godzinie 11 w nocy ulicą Gródecką. Policja odebrała im dywan, a ich samych na skład pod św. Florjana oddała.

## Rozmaitości.

**Sztuka teatralna z herbatą i ciastkami.** W teatrach londyńskich zaprowadzono niezwykłą inowację. Dyrekcja teatru „Brixton" częstuje swoją publiczność podczas przerw herbatą i ciastem; a w „Royal Duchess" aktorzy produkują się w antraktach śpiewem, gdy lokaje roznoszą śród słuchaczów ciasta i cukierki.

**„Dwóch ich było".**

„Czynił dobrze całe życie.
„A przed śmiercią rzekł nie skrycie,
„Iż na trumnę nie chcę kwiatów,
„Gdy na głodnych braknie blatów...
„Łupił bliźnich, co się dało!
„Kradł, rozbijał! Wszystko — mało!
„A przed śmiercią kazał sobie
„Ogród cały wznieść na grobie..."

## Dział ekonomiczny.

**Wiedeń** 9 listopada.

(*fr.*) Zamiast pięciu godzin wystarczyłaby obecnie na załatwienie obrotów na giełdzie wiedeńskiej jedna godzina. Tak dalece nie ma życia na targu tutejszym, że wczoraj n. p. w trzech pierwszorzędnych papierach, nadających zazwyczaj ton całej giełdzie t. j. w kredytach, alpinach i Statsbanach, nie zrobiono przez dwie godziny ani jednej transakcji, a notowane kursa tych papierów były często nominalne. Wobec takiej stagnacji obniżyły się kursa na całej linji niejako własnym ciężarem. Zapotrzebowanie gotówki jest obecnie po rozwikłaniu rachunków miesięcznych nieznaczna, a eskont prywatny jest tańszy od urzędowej stopy bankn austro-węgierskiej i wynosi 3¾ %. Bank austro-węgierski ogłasza, że od września po dziś dzień puścił w obieg złotych monet za 30 8/10 miljona koron, z tego wróciło napowrót do banku 1,200.000, a pozostało w obiegu 29,600,000 koron.

Z Berlina donoszą, że sprowadzono istotnie czasy przez zarząd kolei lwowskich lokomotywy amerykańskie okazały się gorszemi od niemieckich, gdyż spotrzebowują więcej węgla. Wiadomość tę przyjęli niemieccy fabrykanci maszyn — wielkiem zadowoleniem.

— **Wiedeń** 11 listopada. (*Giełda zbożowa*). (Kursa w koronach i po 50 kilogramów). Pszenica na wiosnę od 8 90 do 8·91 żyto na wiosnę od 7·69 do 7·70 kukurydza na listopad od — — do — —, na maj-czerwiec od 5 80 do 5·81 owies na wiosnę od 7 79 do 7·80 rzepak na styczeń-luty od — — do — —. na sierpień-wrzesień od —·— do —·—; olej rzepakowy na styczeń kwiecień od — — do — —. Usposobienie silne. Pochmurno.

— **Budapeszt** 11 listopada. (*Giełda zbożowa*). (Kursa w koronach i po 50 kilogr.). Pszenica na kwiecień od 8 68 do 8 69 żyto na kwiecień od 7·38 do 7 39; owies na kwiecień od 7·42 do 7·43, kukurydza na maj od 5·48 do 5·49; rzepak na sierpień od 11 80 do 11 90. Oferty na pszenicę dostateczne. Chęć kupna lepsza. Usposobienie spokojne. Zimno.

**Wiedeń** 11 listopada. (Giełda połudn.. godzina 12 m. 30). Marki 117·22, Renta majowa 98 60, Węg. renta koronowa 92 90, Akcje austr zakł. kred 617·—, Akcje węg. zakł. kred. 631·—, Akcje Anglobanku 260 50, Akcje Unionbankn 512·—, Akcje Bankvereinu 417·50, Akcje Länderbanku 391 50, Akcje kolei państw. 619·—, Lombardy 63 —, Akcje kolei Elbethal 467·—. Akcje fabryki broni ·—, Akcje tytoniowe 272·75, Akcje Alpiny 342·50, Akcje Rima Muranji 414 —, Akcje pragskiego Tow. żel. —, Losy tureckie 92 50 Ruble 254·— Usposobienie spokojne.

**Berlin** 11 listopada (Giełda poranna). Akcje kredytowe 194 50. Tow. dyskontowe 171 50. Usposobienie nierozstrzygnięte

TEATR MIEJSKI WE LWOWIE.

W poniedziałek dnia 11 listopada o godz. 7 wiecz.

Po raz 2gi:

**PAN SĘDZIA**

(Le bon juge)

komedja w 3 aktach Aleksandra Bissona; tłumaczenie Wandy Nałęczównej.

O S O B Y:

| | |
|---|---|
| Leplantois, sędzia śledczy | p. Fiszer |
| Bluteau | p. Kliszewski |
| Duvigneul | p. Hierowski |
| Lajannette | p. Nowacki |
| Bobin | p. Lelewicz |
| Teodor | p. Nowicki |
| Eugenjusz | p. Bielecki |
| Tourillard | p. Recheński |
| Beniguet | p. Kosiński |
| Pani Pigeon | pna Wojnowska |
| Laura Leplantois | pna Arkawin |
| Łucja de Perpignan | pni Solska |
| Komisarz policji | p. Wysocki |
| Pierwszy żandarm | p Fedyczkowski |
| Drugi żandarm | p. Kościakiewicz |
| Pierwszy policjant | p. Langenfeld |
| Drugi policjant | p. Kondracki |

Rzecz dzieje się za naszych czasów. — Akt I-szy w kancelarji Leplantois w pałacu sprawiedliwości w Paryżu. — Akt II-gi w mieszkaniu Leplantois w Paryżu. — Akt III-ci w hotelu „du Printemps", w Fleur-ville sur-mer.

## Przyjechali do Lwowa

dnia 11 listopada 1901 r.

HOTEL GEORGE. Hr. A. Starzeński z Dąbrówki. Hr. W. Dzieduszycki z Jezupola. Hr. Wł. Dzieduszycki z Jezupola. Br. F. Heydel z Beramian. Hr. J. Pinińska z Grzymałowa. F. Bocheński z Mużyłowa. M. Dessaner z Budapesztu. B. Hanczakowski z Krakowa. E. Lityński z Litwinowa. W. Jaukowska z Rosochowacza. T. Sroczyński z Jasła, S. Niementowski ze Zbaraża. W. Rozwadowski z Bybina. Ch. Rouveure z Etienny. M. Zawadzka z Tarnopola. S. Anczyc z Bakszawy.

HOTEL EUROPEJSKI. S, Szawłowscy z Barysza. J. Kilarski z Krakowa. J. Kitko Sokołowska z Odessy Z. Strażyc z Podola ros. S. Marmorosz z Kołomyi. H. Sedlakowa z Borysławia. W. Zahaysky z Pragi. J. Stycanowicz z Krakowa. J. Janko ze Żółkwi. Maj. Solnitzky z Krakowa. Pułk. Szulakiewicz z Wiednia. J. Szumpeter z Buska. T. Kowalski z Krakowa. W. Adler z Paryża. S. Szumski z Borysławia. H, Alingier z Ołomuńca. M. Moers z Wiednia.

## Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od redakcji, która też nie bierze na siebie żadnej za nie odpowiedzialności.

### Podziękowanie.

Wszystkim życzliwym, którzy po tragicznym zgonie ukochanego syna naszego ś. p. Karola, w naszem bezgranicznem nieszczęściu nieśli nam wyrazy współczucia, zasyłamy z głębi zbolałego serca płynące podziękowanie

1211 niepocieszeni rodzice

**Seyfarthowie.**



## Malarstwo japońskie i wystawa p. Jasieńskiego.

Propagator odrębności narodowej w sztuce, p. Feliks Jasieński, urządzając w „Salonie" lwowskim przy placu św. Ducha wystawę swych cennych i oryginalnych zbiorów artystycznych, dał nam między innemi sposobność poznania autentycznych, a ciekawych okazów sztuki japońskiej, najbardziej chyba wyodrębnionej w swej formie ze wszystkich przejawów twórczości malarskiej na świecie.

Z pojęciem japońszczyzny łączyły się do niedawna w umysłach naszych dziwaczne, a jaskrawe w kolorycie malowidła na wyrobach z laki lub kości słoniowej, na jedwabnych ekranach lub parawanikach, będących przeważnie lichemi imitacjami, a często nawet zwyczajnem, a nieudolnem fantazowaniem malarskiem na tematy japońskie, uskutecznianem bez dokładnej znajomości naśladowanej techniki i przedmiotu.

Nie są to zbyt odległe czasy, gdy zamknięta przedtem na siedm zamków przed Europą Japonja, otworzyła na ścieżaj swe ramiona cywilizacji Zachodu, a nawzajem Europa poznawać poczęła i zachwycać się nieprzebranymi zasobami oryginalnej sztuki japońskiej. Jak każda nowość, japońszczyzna podbiła wkrótce świat cały i stała się modną. Poczęto sprowadzać wyroby japońskie, ozdabiać niemi mieszkania, urządzać zbiory; gdy zaś autentyczne okazy, zwłaszcza dzieł sztuki, kosztowały dość drogo i nie mogły być dostępne dla wszystkich, rozpoczęła się w Europie na wielką skalę fabrykacja japońszczyzny, prowadzona w sposób handlowy, z pominięciem względów artystycznych, bez należytego uwzględnienia charakterystycznych cech sztuki japońskiej. To ostatecznie zabiło modę.

Niemniej, sztuka japońska pozostała odrębną i oryginalną w swej formie i jako taka, budzić musi żywe zaiteresowanie u inteligentnej części społeczeństwa. Charakterystycznem znamieniem japońskiego malarstwa jest technika, odmienna od naszej, zasadzająca się przedewszystkiem na uwzględnieniu dwu form tylko: konturu i plam, a nieuwzględniająca zupełnie światłocienia. Jest rzeczą naturalną, że tam, gdzie kontur jest głównym środkiem i podstawową siłą w ręku artysty, kolory zaś nie służą do wydobycia przez odpowiednią modulację plastyki odtwarzanego przedmiotu, lecz kładzione umiejętnie obok siebie, tworzyć mają jedynie harmonijną mozajkę w obrazie — wydoskonalić się musiał w pierwszym rzędzie rysunek. Uderza on też we wszystkich okazach japońskiego malarstwa, a japońscy artyści wiedzą doskonale o tym swoim przymiocie.

A. H. Exner, w dziele swem o Japonji, wspomina o sprawozdaniu, jakie złożyli artyści japońscy, wysłani przez rząd w połowie ubiegłego wieku w podróż po Ameryce i Europie. Nie wypadło ono dla naszego malarstwa zbyt korzystnie. W Europie zaginęła już od trzech wieków tradycja wielkiej sztuki — brzmiał jeden ustęp tego sprawozdania — zaginęło naturalne poczucie barw, a zwłaszcza rysunek; tymczasem Japonja rysować umie... I istotnie, Japonja umie rysować!

Trzeba własnemi oczyma obejrzeć dzieło japońskiego artysty, ażeby pojąć, do jakiego stopnia doskonałości doprowadzona być może technika konturowa, jak subtelnym, a równocześnie jędrnym może być rysunek. Owe ptaki i kwiaty, jedną narysowane linją, owe twarze męskie, których wyraz za pomocą kilku energicznych kresek oddano, owe tysiączne szczegóły, uwidocznione z całą dokładnością na małym rozmiarami kawałku papieru, lub jedwabiu, wprawiają nieraz w zdumienie widza i każą mu ze czcią schylić głowę przed taką doskonałością. Przejąwszy technikę malarską od Chińczyków, Japończycy bardzo prędko wyprzedzili swych mistrzów, pozostawiając ich daleko za sobą. Niemniej utrzymało się w ich dziełach aż dotychczas pewne „stylizowanie" odtwarzanych przedmiotów i to właśnie zapewnia im ową odrębność narodową w sztuce, zatraconą zupełnie w malarstwie europejskiem. Stanąwszy przed obrazem europejskiego malarza, poznamy bezzwłocznie szkołę, do jakiej mistrz należy, jednak wyjątkowo chyba uda się nam ze samego sposobu wykonania odgadnąć, czy obraz ów namalował Włoch, Niemiec, czy Polak. U nas stała się sztuka kosmopolityczną, podczas gdy w Japonji pozostała ona narodową i, niewątpliwie, gdyby artysta japoński — posługując się całym aparatem techniki europejskiej, farbami olejnemi i światłocieniem, wymalował obraz przedstawiający n. p. znany nam krajobraz tutejszy, to jeszcze rozpoznałby każdy, choćby przez owe nieuniknione stylizowanie, narodowość artysty. Nie ma też zapewne kraju na świecie, gdzieby sztuka tak szeroko jak w Japonji zapuściła korzenie i gdzieby tak powszechne jak tam znalazła zastosowanie, zarówno w przemyśle, jak wogóle we wszystkich przejawach życia.

Złożyły się na to całe wieki usiłowań mniej i więcej wybitnych artystów, poczynając od malarza Kanaoka w IX-tym wieku po Chrystusie, jako pierwszego, o którym historja malarstwa japońskiego przechowała pewne dane, aż do Utamary i Hoksai'a przy końcu XVIII go i w pierwszej połowie ubiegłego wieku, którzy sztukę ojczystą do najwyższej doprowadzili doskonałości. Zetknięcie się z cywilizacją Zachodu, nie wpłynęło dodatnio na rozwój japońskiej sztuki. W każdym razie, ujawniona w malarstwie japońskiem z lat ostatnich tendencja zarzucenia dawnej, prymitywnej techniki, farb wodnych i tuszu, przy równoczesnem usiłowaniu posługiwania się na wzór malarzy europejskich farbami olejnemi i światłocieniem, nie wydała dodatnich rezultatów dotychczas, tak, że obecnie stwierdzić potrzeba pewien zastój w sztuce japońskiej. Nie przeszkadza to jednak, aby nie zachwycały nas utwory jej z doby największego rozkwitu, czyste w swej formie, subtelne i oryginalne.

Malowidła i drzeworyty ze zbiorów p. Jasieńskiego, które na naszej wystawie teraz oglądaliśmy, pochodzą przeważnie z drugiej połowy wieku XVIII i z pierwszych dziesiątków lat ubiegłego stulecia, dają też nam jaknajlepsze o sztuce japońskiej wyobrażenie, pozwalając poznać wszystkie jej wielkie zalety.

Kilkadziesiąt kartonów takich artystów jak Kunisada, Utamaro, Shiunman, Shunstho, Toyokouni i Hoksai, barwną mozajką ozdobiło skromne ściany naszego salonu, ściągając zarówno artystów i znawców, jak i szerszą, interesującą się sztuką publiczność. Gdy staniemy przed tymi okazami egzotycznej sztuki, uderzają nas przedewszystkiem — oprócz niesłychanie harmonijnego doboru barw — błędy, a raczej szczegóły, niezgodne z naszemi pojęciami o sztuce: Brak perspektywy linijnej, brak kompozycji w znaczeniu europejskiem, brak zmysłu anatomji w rysynku ciał ludzkich, a wreszcie kompletna szablonowość w odtwarzaniu twarzy kobiecych. Wady te nie są jednak wynikiem artystycznej nieudolności, lecz raczej następstwem specjalnego sposobu wykonania i inuego niż nasze zapatrywania na świat i ludzi.

Artysta japoński, malując, nie używa sztalugi, lecz siedząc na ziemi, wodzi pionowo trzymanym pędzlem po rozłożonym przed sobą papierze. Patrząc z góry, inaczej pojmuje perspektywę i inaczej ją też w dziele swojem zaznacza. Anatomja ludzkiego ciała stanowi znów dla niego rzecz podrzędną, bo w kraju, gdzie zarówno mężczyźni jak i kobiety używają przeważnie sukni długich, otulających z wyjątkiem rąk szczelnie całe ciało, suknia właśnie rzuca się przedewszystkiem w oczy malarza, każąc mu dla dekoracyjnej swojej wartości, zapominać o kształtach, które okrywa. Co się tyczy wreszcie szablonowego traktowania twarzy kobiecych, to nietylko potrzeba liczyć się z faktem, iż bierna rola kobiety w Japonji czyni z niej poniekąd osobę podrzędną, ale także i z tą okolicznością, że twarze kobiet japońskich są, względnie były do niedawna, zupełnie do siebie podobne, już choćby z tego powodu, że wszystkie jednakowe noszą fryzury, jednakowo goliły brwi, malując na ich miejscu dwa delikatne łuki tuszem i jednakowo też karminem malowały usta i jednakowo grubą warstwą pudru pokrywały swe rysy.

Pomijając wadliwości, o których wspomniałem, przedstawiają się nam utwory japońskich artystów, jako prawdziwe arcydzieła rysynku, opartego na arcysumiennej i drobiazgowej obserwacji, a zarazem, jako istne symfonje barw, dobranych najstaranniej.

Trafnie ochrzcił też p. Jasieński mianem „symfonij barwnych o rozmaitych tonacjach" trzy umieszczone obok siebie obrazki Eizana, Utamary i Kunisady. Wyrafinowane zestawienie subtelnych barw i zabarwień, jakie tam widzimy, stanowi dla oka prawdziwy poemat, co dobry smak i estetyka na punkcie kolorystyki stworzyć mogła, znajdujemy tam przed sobą, zespolone w formie wdzięcznej, a niezwykłej.

Dziesięć scen z życia domowego, odtworzonych przez Utamarę, zaleca się również doskonałem zharmonizowaniem żywych przeważnie kolorów, a nadto, wielkiem bogactwem szczegółów i śmiałym rysnnkiem. Typowy okaz połączenia techniki konturowej z planową, spostrzegamy w obrazku tego samego artysty, przedstawiającym gwoździki i fruwające obok nich motyle. Najwspanialszym jednak utworem Utamary, (z tych, które nam p. Jasieński ujrzeć dotąd pozwolił), jest — według mego zdania — wykonany tuszem, zimowy krajobraz nadrzeczny. Oryginalny rysunek idzie tam w parze z doskonale schwyconym nastrojem i tworzy dzieło niesłychanie subtelne, pełne szczególniejszego uroku i wdzięku.

Doskonale zachowane i interesujące są dwa drzeworyty niewiadomych artystów, przedstawiające rybki w wodzie i Wiosnę, a raczej krajobraz wiosenny z rzeką na pierwszym planie. Oba te drzeworyty, wykonane przy zastosowaniu planu tylko, bez konturu, są jako typowe okazy sztuki ogromnie zajmujące.

Z innych, znajdujących się na ostatniej wystawie dzieł malarstwa japońskiego, wymienić należy scenę mitologiczną Toyokouniego, dwa obrazki Shiunmana i dwie bardzo piękne i żywo zabarwione sceny rodzajowe Shunsthy.

Najwięcej miejsca na wystawie zajęły utwory Hoksai'a, najpopularniejszego i najpłodniejszego zarazem z malarzy japońskich doby przedostatniej (1760—1849). Był on pierwszy ze swych kolegów, z którego dziełami zapoznała się szersza publiczność europejska, ale też dość powiedzieć, że w ciągu swego pracowitego żywota namalował więcej niż 3000 obrazów. Nie wszystkie były, naturalnie, jednakowej wartości, stąd zaś niektórzy krytycy odmawiają mu pierwszorzędnego stanowiska w rzędzie mistrzów japońskich. Bądź co bądź prace jego świadczą o wielkim talencie malarskim i są nader zajmujące, już choćby dlatego, że dostrzegać się w nich dają pierwsze próby posługiwania się światłocieniem (np. w sposobie ciemniejszego zabarwiania wody płynącej pod brzegiem). Z rzeczy znajdujących się na wystawie, zasługiwały na szczególną uwagę jego „Wodospady", tudzież „oribon" (rodzaj naszych popularnych wachlarzowo składanych albumów z widokami), odtwarzający sceny z zakresu rękodzielnictwa w Japonji.

Wrażenie, jakie się odbiera przy zwidzaniu wystawy japońskiej, jest zupełnie niezwykłe; artyści zaś nasi znaleść tam mogą dla siebie wielki materjał do studjów nad techniką japońską, a także dowód, iż sztuka prymitywna zdolna jest równie dobrze odtwarzać pierwiastek duchowy i myśl artysty, jak skończone pod względem technicznym „majstersztyki."

*Iz. K.*

# Szczepanik i jego wynalazki.

(Wywiady dziennikarskie).

(Dokończenie).

— Stało się to tak, — ciągnął dalej twórca telektroskopu — że kiedy opatentowałem go w Anglji przedewszystkiem, w tamtejszych pismach fachowych ukazały się opisy telektroskopu — zatelegrafowano je natychmiast pismom wiedeńskim, których współpracownicy formalnie oblegli od razu pana Kleinberga, dopytując go o wynalazek i szczegóły mnie dotyczące. W Wiedniu byłem podówczas nieobecny, pamiętam jednak, jak w podróży, kupiwszy na dworcu w Kolonji *Kölnische Zeitung*, znalazłem w niej niespodzianie pierwszy artykuł, który czytałem o sobie.

W owym też czasie mieliśmy już zawiązane za pośrednictwem zaprzyjaźnionego konsula amerykańskiego we Wiedniu stosunki w Stanach Zjednoczonych. Z konsulatu i dzienników dowiedział się o mnie znakomity humorysta Marek Twain i wiadomo potem, jaką rolę odegrał w rozgłoszeniu po świecie moich dwóch pierwszych wynalazków. Mam mu dużo w tym względzie do zawdzięczenia.

— A gdzie i jak odbył pan pierwsze swe próby z wykonanym telektroskopem?

— W Wiedniu u znajomego p. A. G., który do dziś dnia nosi w pugilaresie przeniesione przy pomocy mego dalekowidza inicjały swoje z pokoju do pokoju. Potem telektroskop ulepszałem i zmieniałem dwukrotnie jego konstrukcję. Po wyrobieniu pierwszego patentu, a potem drugiego, obadwa znów zniosłem i wyjednałem trzeci patent. Tej ostatniej konstrukcji telektroskopu nikt nie zna dotąd. Dotychczas bowiem wiadome są tylko opisy tego wynalazku według patentów pierwotnych z przed lat siedmiu. Nie miałem jeszcze zupełnie czasu zająć się rozpowszechnieniem ostatniego, trzeba było przedewszystkiem wiele pracy i zachodu do wprowadzenia w ruch naszej fabryki wiedeńskiej „Towarzystwa wynalazków Jan Szczepanik i Spółka".

— Nie przyszło to pewno z łatwością?

— Naturalnie. Musiałem sam pierwotnie wszystko nietylko projektować, ale i wykonywać. Maszyny, sporządzone we Frankfurcie nad Menem na nasze zamówienie, okazały się wykonane bardzo wadliwie, tak, że zainstalowane w patronarni w Roubaix we Francji początkowo nie mogły funkcjonować, a że z wojska początkowo wyruszyć nie mogłem, na razie wszystko prawie stanęło. Potem dopiero, uzyskawszy sporadyczne urlopy, korzystać z nich mogłem dla odpowiedniego naprawienia złego i wprowadzenia fabryk naszych w ruch należyty, gdzie przedewszystkiem z nowym, mechanicznym systemem wyrobu patronów zaznajamiają się robotnicy.

— A na czem polegają wszystkie dotychczasowe pańskie wynalazki tkackie i co zrobiono dla ich zastosowania?

— Jak panu zapewne wiadomo z doniesień dawniejszych, po próbach patronów w pracowni w Barmen (Niemcy, w pobliżu Creffeldu), utworzyło się towarzystwo pod firmą „Société francobelge pur la textile Szczepanik", którego prezesem jest były belgijski minister handlu de Bruyn. Dotychczas wyrabiamy więc w Wiedniu, Barmen i Roubaix tylko patrony, mające już tylko zbyt szeroki głównie w Austrji Dolnej, w Niemczech, Francji i Belgji. Ale nietylko same patrony są w zakresie tkactwa moim pomysłem. Opatentowaliśmy już i inne wynalazki w tej dziedzinie, jak maszynę do bicia kart patronowych na drodze elektrycznej. W drugiej połowie ubiegłego miesiąca właśnie w Wiedniu, w obecności prezesa Tow. akc. francusko-belgijskiego, mającego swą siedzibę w Brukseli, Bruyna, przy udziale techników wybitnych i tkaczów zawodowych z Niemiec i Francji, Towarzystwo zakładów elektrycznych „Union", pierwsza powaga w tych rzeczach, dyrektor „Musterwebereischule w Akwizgranie p. Reiser odbył ekspertyzę z tej maszyny. Nie wypada mi panu mówić o jej wyniku. Ale oto protokół.

Nie mogę tu, niestety, dla braku miejsca, przytoczyć dosłownie wszystkich pochwał, oddanych maszynie do bicia kart patronowych Szczepanika w tym protokole. Wystarczy jednak czytelnikom przytoczyć wniosek ostateczny.

„Muszę w końcu zauważyć jeszcze, że ta nowa maszyna jest koroną wynalazków Szczepanika: *„La mise en carte photographique,"* że trzeba mieć obiedwie maszyny, ażeby i jedną i drugą uczynić zyskownemi. Wówczas bowiem dopiero fabrykanci naprawdę będą zmuszeni wbrew nawet woli własnej do używania patronów Szczepanika."

To wymowne.

Trzecim moim wynalazkiem — ciągnął dalej Szczepanik — w tkactwie są tkaniny barwne; dalej „maszyna Jacquarda jednorzędowa," „łańcuch Jacquarda bez końca," służący do zastosowania przy tych maszynach, wreszcie tkanie plastyczne i wypukłe (gobeliny, dywany i t. p.)

Z wynalezieniem tych maszyn tkactwo stało się więc sztuką czysto reprodukcyjną.

Z wprowadzeniem w życie szeregu tych wynalazków tkackich upadają trzy gałęzie rękodzielnictwa: rysownicy (ponieważ patroniarnie dostarczają same fabrykom tkackim wszystkich wzorów tkanin), patroniarze i wybijaczki kart. Zyskują zaś zajęcie: fotografowie, rysownicy artystyczni i monterowie. Sprowadzi to więc kapitalny przewrót w danym przemyśle. Uwidocznia się to już np. w fabrykach w Austrji Niższej, gdzie pracodawcy z wprowadzeniem patronów Szczepanika zaproponowali zniżenie płacy zarobkowej robotnikom tkackim o 25%, a z pewnością zniżka ta dosięgnie do 50%. Robotnicy tkacze w Roubaix buntują się przeciwko naszym patronom, do tego stopnia, że dyrektor ich fabryki, p. Habrich, obawia się chodzić piechotą po mieście, gdzie robotnicy z przekąsem i złością pokazując go sobie palcami, wołają:

— *La textile! La textile!*

Na wszystkie wynalazki tkackie Szczepanika wyrobiono przeszło sto patentów, do których eksploatacji tworzy się obecnie syndykat międzynarodowy. Na czele jego staje b. minister, prezes Tow. francusko-belgijskiego tkackiego Szczepanika, de Bruyn. Lubo kapitały dla tego syndykatu są już za granicą zapewnione, zastrzeżono przy jego organizacji jak największy udział dla Polaków i dla kapitałów naszych. Otwiera się więc nowe, obszerne pole dla wykazania, że postąpiliśmy w naszej przedsiębiorczości.

Skończywszy z tkactwem, należało zapytać Szczepanika o inne jego wynalazki.

— Że jest ich dosyć — odparł — dowodem 400 patentów, których jestem właścicielem. Ostatnio, niestety, nie mogę ani myśleć o wyzyskaniu lub wprowadzeniu ich w życie z powodu mojej służby obowiązkowej w wojsku.

Są to pomysły z dziedziny optyki, mechaniki, tkactwa, elektrotechniki, fotografji. Jako zabawkę traktuję takie rzeczy, jak ulepszenie roweru lub studja teoretyczne nad sterowaniem balonem. Ostatnim moim wynalazkiem, nad którem dłużej pracowałem, jest szybkie telegrafowanie po drucie, w czem jestem przekonany, aparaty moje o wiele wyprzedzą aparaty Morse'a.

— A jakże panu przychodzą te setne pomysły i jak pan nad niemi pracuje?

— Najczęściej przy czytaniu lub oglądaniu projektów technicznych różnych innych maszyn i urządzeń. Pracuję bez żadnego ładu i składu, dorywczo, niesystematycznie, w różnych porach dnia, pomimo, że jestem wielkim pedantem w wykonaniu i wykończeniu mechanicznem moich pomysłów, których rysunki powierzam wprawdzie technikom, ale sam składam swoje maszyny i przyrządy.

A czy nie uczuwa pan jakiego znużenia fizycznego po wytężonej pracy?

— O, bynajmniej — odparł, uśmiechając się wesoło, pan *Unterpionier titular-gefrajter*, jak opiewa jego stanowisko w 45 pułku piechoty, konsystującym w Przemyślu,—bólu głowy nie mam nigdy. Jeżeli się spracuję, czytam dla wypoczynku.

— Romanse, powieści czy poezje?

— Ani jedno, ani drugie, ani trzecie. Czytam przeważnie pisma fachowe, techniczne, których odbieram około 200 w różnych językach.

— A jakie pan zna języki?

— Oprócz polskiego tylko niemiecki dobrze i francuski słabo.

— A jakże więc pan sobie radzi z pismami i książkami w językach panu obcych?

— Mam tłumaczów, którzy, jeżeli mię co zainteresuje, przekładają mi to natychmiast na polski. Zresztą najlepiej orjentuję się i lubię dochodzić istoty rzeczy z rysunków.

— Jakie pan ma najbliższe projekty na przyszłość?

— Ameryka, panie, Ameryka, do której niebawem na sześć tygodni po uzyskaniu urlopu wyjadę?

— Co pan tam robić zamierza?

— Zbadać stosunki wielkiego przemysłu i zorganizować potem fabrykację moich maszyn i patronów tkackich. Przemysłowcy amerykańcy obiecują sobie przez obniżenie znaczne kosztu produkcji wyrobów tkackich przy pomocy moich wynalazków — zwiększonym jeszcze w porównaniu z obecnym wywozem — wytworzyć wielką konkurencję przemysłowi tkackiemu w starej Europy. Ale na miejscu w Stanach Zjednoczonych trzeba dopiero wytworzyć i przygotować nowy kontyngens robotników, odpowiednio z producją w tej nowej formie obznajomionych. Do tego muszę być w Ameryce osobiście, ażeby przygotować grunt, dać wskazówki. Syndykat, tworzący się obecnie dokona reszty.

— A po powrocie z Ameryki, co pan robić zamierza?

— Ożenię się, ożenię conajprędzej.

— Daruje pan niedyskretne pytanie: jak panna Wanda Dzikowska została pańską narzeczoną?

— Jest córką lekarza, zawołanego amatorafotofrafa, który jako taki poznał się ze mną, a potem zbliżylimy się, gdy przed doktorem Dzikowskim stawałem do poboru wojskowego. Zacząłem bywać w ich domu, poznałem córkę, zakochałem się i jestem zaręczony.

Tu machinalnie Szczepanik dotknął się niewielkiej obrączki z brylantem na palcu serdecznym lewej ręki — pierścionka zaręczynowego — i dokończył:

— Narzeczona moja ma wielkie zamiłowanie do fizyki i nauki wogóle, czem bardzo mnie sobie zjednała.

— Zapiszę to gwoli dobrej radzie dla naszych Warszawianek — rzekłem, żegnając Szczepanika i dziękując mu za jego uprzejmą gotowość udzielenia tylu ciekawych o sobie wiadomości.

Wyszliśmy razem z hotelu, a po chwili dorożka uwoziła go już na jedną z licznych wizyt i narad w interesach, któremi jest w Warszawie zajęty.

*Kurj. Warsz.* *Z. J. Naimski.*



Odpowiedzialny za redakcję: Dr Kazimierz Ostaszewski-Barański. Właściciele i wydawcy: Dr. K. Ostaszewski-Barański, Milski i Sp. Z drukarni M. Schmitta i Sp. pod zarządem St. Piotrowskiego.